

Kamena

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 15.VI.1967 Nr 11 (368) R. XXXIV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.



Zamek szczeciński

Fot. Stefan Cieślak

Od redakcji

Ten numer „Kamena” — w związku z zapowiedzianym na drugą połowę czerwca Zjazdem Pisarzy Ziemi Zachodniej i Północnej w Szczecinie — miał być w całości poświęcony prezentacji środowisk twórczych tych ziem. W chwili łamania numeru dowiedzieliśmy się o przełożeniu Zjazdu na wrzesień. Nie chcąc opóźnić druku, zdecydowaliśmy się jednak opublikować większość przewidywanych materiałów, które są związane z problematyką kulturalną ziem zachodnich. Wysłaliśmy bowiem z założenia, że niezależnie od jednorazowej uroczystości, jaką jest Zjazd, warto przedstawić czytelnikom „Kamena” poetów i prozaików, którzy tworzą między Białymostkiem a Karkonoszami. Zdajemy sobie, oczywiście, sprawę, iż nie może to być prezentacja pełna, trudno by zresztą tego oczekiwać, biorąc chociażby pod uwagę szczerą objętość pisma.

Przy okazji redakcja dziękuje tym wszystkim, którzy poparli naszą inicjatywę.

Nie ma literatury regionalnej jest literatura polska

FELIKS FORNALCZYK

UMILKLY dawno drobne utarczki publicystyczne wokół pseudoproblemów tematycznych, nie ma już potyczek prasowych o prowincjonalno-wojewódzkie wielkości literackie, które towarzyszyły pierwszym zjazdom pisarzy ziem zachodnich i północnych. Zapanował spokój. Wszystko się doskonale uładziło i znakomicie zblakło... Dawni młodzi pisarze zmężnieli i spoważnieli. Krytycy z kolei ostudzili swoje zapęły. Nie znaczy to, że zamilkli i że uznają się za usatysfakcjonowanych. Po prostu i oni czegoś przez ten czas się nauczyli. Przestało się liczyć miejsce zamieszkania pisarza. Zmienił się co nieco przez ten czas dziesięciolecie świat. Zmieniło się też spojrzenie na literaturę.

Nikt nie domaga się od niej tego, czemu ona nie jest w stanie sprostać. Sama literatura także zrezygnowała z ambicji zbawiania ludzkości. Osiedlenie się pisarza na odległej prowincji nie uchodzi już ani za objaw szczególnego patriotyzmu, ani nie stanowi dowodu postawy heroicznej... Określenie „ziemie zachodnie i północne” pisze się z malej litery.

Straciły racje bytu jakiejkolwiek podziały na literackie okręgi i podokręgi. Mamy natomiast do czynienia z jedną literaturą polską. Tworzą ją pisarze zamieszkujący różne ośrodki Polski — liczy się nie tyle temat, ile indywidualny dorobek każdego twórcy, który przyczynia się do wzbogacenia ogólnego obrazu literatury.

Na początku, w pierwszych latach powojennych, chodziło o zaświadczenie naszej obecności na polskim zachodzie oraz o twórcze przypomnienie przybyłym z różnych części kraju tamtejszej historycznej tradycji polskiej. W późniejszych latach odbywały się utarczki o drobne sprawy lokalne i regionalne. Ale od kilku lat owe male sprawy przesta-

ły ważyć — liczy się natomiast to, co ma znaczenie dla całej literatury polskiej.

Czy oznacza to, że nie mają już znaczenia odrębności regionalne? Nie, tyle że sami pisarze, owa przeżywająca dziś pełnię sił twórczych generacja, wyzbyli się prowincjonalnych kompleksów; ich wpływ i znaczenie ocenia się według doświadczeń właściwych całej współczesnej literaturze polskiej. I to jest zjawiskiem ważnym, bo poświadczającym najzupełniej normalny rozwój poszczególnych środowisk literackich polskiego zachodu i północy.

Środowiska te mają już właściwie za sobą przyswojenie historycznej tradycji miejscowej, okolicznej krajobrazu, wysiłku społeczeństwa w odbudowie i budowie nowych ośrodków pracy i życia. Owe miejscowe osobliwości oddała w słowie poetyckim — na tle dramatu rozstań i odnajdywania właściwego miejsca w społeczności między ludnością autochtoniczną i papyliwową — literatura tworzona na Warmii i Mazurach oraz na Opolszczyźnie. Podług rekwizytów opisowych sądząc można także odróżnić poezję tworzona w Gdańsku i Szczecinie oraz we Wrocławiu czy Zielonej Górze. Ale to osławianie z krajobrazem, doświadczeniami miejscowymi i nastrojem miast dzisiejsza literatura zachodniej i północnej Polski ma już za sobą.

Ostatnie utwory poetów i prozaików wskazują coraz częściej na łączenie doświadczeń dzieciństwa i młodości autorów z ich wiekiem dojrzałym; wytwarza się więc nowy typ mitu literackiego, który scala społeczne doświadczenia ludzi mających za sobą doznania translokacji, przemian ustrójowych, legend rodowych, słowem procesów społeczno-świadomościowych, które przeżył cały naród. Na tym tle z łatwością przyjmujemy się więc w tej literaturze wzorce literacki uprawiany np. przez Juliana Kawalca.

Młoda generacja pisarzy zwłaszcza, wykształcona i wychowana

w Polsce Ludowej, i reprezentująca duże przygotowanie ogólnokulturalne, przejmując z łatwością określone modele panujące w liczącej się polskiej literaturze współczesnej i dawniejszej... I jest to znowu zjawisko właściwe całej najmłodszej generacji literackiej Polski, a nie tylko jej części zachodniej czy północnej.

Poświadczają to zjawiska najnowsze książki i wypowiedzi prasowe zielonogórzan Andrzeja K. Waśkiewicza i Zygmunta Trzaski, szczecinianina Adolfa Momota, koszalinianina Czesława Kuriaty i wielu innych. Z wyjątkiem tylko bodaj ośrodka wrocławskiego i gdańskiego, które mają najbardziej wykrystalizowane ambicje samodzielnego kształtowania swojego oblicza oraz najszlachetniejsze warunki do praktycznej realizacji swych dążeń, wszystkie pozostałe ośrodki literackie zachodniej i północnej Polski, nawet te najmniejsze i najmłodsze, wyzbywają się swoich kompleksów na drodze bezpośrednich kontaktów z centralnymi ośrodkami wydawniczymi i czasopiśmienniczymi, to znaczy z Warszawą, Krakowem, Łodzią czy Poznaniem.

I nie ma w tym zjawisku nic dziwnego, ani przeciwnego naturze, jeśli reprezentanci tych zachodnich i północnych kresów Polski, poddawszy swoje dzieła weryfikacji wydawniczej i krytycznej dużych centrów edytorskich, nie tylko wygrywają z konkurentami, ale także zwracają na siebie uwagę opinii literackiej kraju i zdobywają wielorakie dowody uznania dla swych własnych oryginalnych propozycji artystycznych.

Tym sposobem zwróciła na siebie uwagę kraju światła twórczość poetka i dramaturgiczna Tymoteusza Karpowicza, proza Henryka Worcella, Macieja Patkowskiego i Tadeusza Mikołajka, poezja i proza Urszuli Koziół (wrocławianka); powieściopisarstwo historyczne Zbigniewa

(Dokończenie na str. 5)

HELENA RASZKA



Przez wielość swoją
w jednym kruchym geście
na tyle znaczeń krzepnie rozproszona.
Musł poskromić opór ciała, które
sobą przenosi nad lunę neonów.
Jaką miarą
sprawdzać ją będziesz — poza nią
w przestrzeni gęstej od prawd
zasuplających
pętle na szyję — od drzewa do drzewa.
Mnogością ulic,
wychyleniem słowa na wieloznaczność
— tak osłania siebie
dla niespełnienia.
Może być tylko przezroczyście,
może
dodawać siebie do przedmiotu
postrzeganego w przejściu.
Jest
— najpewniej —
w srebrzystym podniesieniu dzwonów
nad wieżami
miasta — zatrzymanego w tobie

Szczecin

CZESŁAW KURIATA

Uśmiech

Uśmiech — nasz nowy język — język świata
którego jak niemowlę wciąż świat się uczy
patrz — jaka zgodność naszego wzroku
więc światło oczu myśli odtąd wypowiada

I światło wzrok przesyła uśmiech — słowo
więc w oczach bezkres i punkt bezkresem
w którym wciąż gubię i od nowa odnajduję
swoje ciało młością spalane do szkieletu

I nagle ruch głowy konia wieczną grzywą
mną jak dzieckiem w kołysce dłoni kołysze
I patrz — znów my w wymiarze: wszechświat
jednością z krzesłem, łóżkiem, stołem, światem

Odtąd już jedna kronika pisana uśmiechem
twoich i moich za i przeciw — piszę sobą
w tobie — ty we mnie sobą odtąd piszesz
My — krwią pierwotny rysunek w jaskini świata

Koszalin

EUGENIUSZ WACHOWIAK

Sam jeden

(Z cyklu: „Buchenwald”)

Sam jeden
obcy jestem pośród obcych

Oni tam w rękawicach
z mieczami o ziemię
stoją jak wielogłowe
wielonożne zwierzę
gotowe na rozkaz
lupię i zabijają

Oto ja jestem jeden
obcy i samotny
z bosą stopą w chodaku
z głową ogoloną
kandydat na Gólgotę
i na krzyż kandydat

Niby ich nie obchodzi
swoje mają sprawy
lecz wiem że gdybym zechciał
sam w śmierć własną umknąć
to o nią zaszedł
umrzeć mi nie pozwolą
bo chcą śmierć tę chwycić
dla siebie zachować

Zielona Góra

Kultura i CIA

JÓZEF BARECKI

KILKANASIE lat temu w zachodniobrzezijskim hotelu „Titania” odbyła się inauguracyjna sesja organizacyjna, która miała nieść przez świat pochodni prawdziwej i wolnej kultury. Dano jej nazwę: Kongres Wolności Kultury. Entuzjazm uczestników sesji byłby zupełny, gdyby nie kilka drobnych, lecz charakterystycznych faktów. Połowe funduszy na zorganizowanie sesji dostarczyła armia amerykańska, drugą połowę władze zachodniego Berlina, całą zaś imprezę zmontował literat Melvin J. Lasky, członek personelu wysokiego komisarza Stanów Zjednoczonych w Niemczech, generała Luciusa D. Claya. Któż jednak przykładałby wówczas wagę do tak drobnych szczegółów. Atmosfera histerii stworzonej wokół rzekomego zagrożenia kultury przez komunizm sprawiła, że Kongres rozpoczął działalność jako organizacja nie podlegająca żadnemu podejrzeniu.

Mineło kilkanaście lat. Niedawno Kongres Wolności Kultury zebrał się w Paryżu. Po raz pierwszy na porządku dnia nie stała sprawa obrony zagrożonej przez Wschód kultury. Temat obrad był bardziej pasjonujący. Na Kongresie padło pytanie: „Co powinien uczynić niezależny intelektualista, gdy stwierdzi, że swoboda jego myśli była subsydiowana przez brutalną i agresywną agencję wywiadowczą w ramach międzynarodowej zimnej wojny?” Debatę nie dała na to odpowiedź. Nie mogła dać, ponieważ debatujący mówili o sobie. To oni byli subsydiowani przez brutalną i agresywną agencję wywiadowczą, to ich Kongres utrzymywany był przez CIA.

Założenie Kongresu odbyło się z wielką pompą. Jego koniec jest żalony. „Literacka Zatoka Szwajcarii” — tak nazwano tę historię na Zachodzie.

Angielski dziennik Sunday Times pisze, że „kiedy zbada się nieco bardziej gruntownie historię intelektualnej ofensywy CIA — a sięga ona niemal początków zimnej wojny — to okaże się, iż była to jedna z najbardziej skutecznych tajnych operacji w czasach nowożytnych”.

Wywiad zawsze był łączony z tajemnicami wojskowymi, z gospodarką, z nauką. Amerykanie przekształcili ten zakonspirowany aparat, ich wywiad wkroczył na teren, który obejmował już nie tylko dziedzinę tajemnicy, ale i nastroje, świadomość, umysły. To rozszerzenie działalności wywiadowczej przypisuje się osławionemu Dullesowi i jego pomocnikowi, Bradenowi. Pod koniec lat czterdziestych spozostregli oni, że lewica intelektualna w Europie zdobyła dla siebie wszystkie „wielkie hasła”: pokój, wolność, sprawiedliwość. Znana jest pogarda polityków amerykańskich wobec twórców. Dulles wspomina, że lekceważyli oni to niebezpieczeństwo uważając intelektualistów za bandę długowłosych, składającą się w większości ze zbrojców, niezdolnych do jakiejś konkretnej akcji. W tej sytuacji CIA postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce i przystąpiła do tworzenia organizacji, które by podjęły walkę z postępowymi, demokratycznymi ruchami w Europie. Agent CIA, Melvin Lasky, założył Kongres Wolności Kultury. Miał się on stać klasycznym, międzynarodowym organem amerykańskiego wywiadu.

I stał się. Kongres rozwinął szeroką działalność. W okresie zimnej wojny w jego szeregach zaangażowało się wielu intelektualistów zarazonych antykomunizmem. Kongres założył, lub pozostawił subsydiować szereg pism literackich i społecznych w Anglii — był to „Encounter”, we Francji — „Preuves”, w Austrii — „Forum”, w Libanie — „Hivar”, w Indiach — „Quest”, w Japonii — „Freedom”. Na liście utrzymywanych przez Kongres, a za jego pośrednictwem przez CIA znalazła się także paryska „Kultura” redagowana przez Jerzego Gedroycia.

Ogółem CIA dysponowała na dywersyjną akcję ideologiczną około 500 milionami dolarów rocznie. Jak się okazało, na podstawie znacznej części zamieszanych w tę aferę świad-

ków, Kongres Wolności Kultury otrzymał od CIA w ciągu ostatnich trzech lat ponad 800 tys. dolarów, z czego większość przeznaczony na dotację utrzymywanych przez siebie pism. Nie wiemy, ile dostała paryska „Kultura”, to mógłby zdradzić jej redaktor Gedroyc. Sądząc jednak po robocie, jaką „Kultura” wykonuje, CIA musiała dobrze płacić.

Właśnie, co zdobywała CIA za swoje dolary? „Sunday Times” odpowiada analizą „Encounter”. Za pieniądze amerykańskiego wywiadu pismo uprawiało „negatywny liberalizm, którego główną cechą pozytywną była nienawiść do komunizmu i obawa przed nim...”, prowadziło działalność zmierzającą do przedstawienia sytuacji w krajach socjalistycznych w krzywym zwierciadle. Zyski wywiadu amerykańskiego widać również dobrze po treści paryskiej „Kultury”. Dywersyjny charakter tej publicystyki, kamiłowicie enuncjacji, wrogie ideologiczne, wszystko to przy tym ubrane w szaty intelektualnej działalności literackich, wrażliwych rzekomo sumień — oto towar, za który płaciła CIA.

Kongres Wolności Kultury jest jedną tylko organizacją z długiej listy międzynarodowych twórców opłacanych przez amerykański wywiad. Nie brak wśród nich organizacji studenckich, związkowych, oświatowych, prawniczych, wyznaniowych (wśród nich także katolickich) i sam Bóg wie jeszcze jakich. Naoczesnym miejscu znajduje się także na tej liście radio Wolna Europa, znana bojowniczo o rzekomo zagrożoną wolność, pewna siebie i ufna, że jej powiązania z wywiadem amerykańskim oraz rewizjonistami za chodniemiemieckimi nie ujrzą światła dziennego.

Tymczasem rzecz się wydała. Wolna Europa, podobnie jak „Kultura” pana Gedroycia, zde-maskowane zostały przez samych Amerykanów, wśród których wielu osądza tę aferę jednoznacznie. Niedawno w kongresie amerykańskim odbyło się przesłuchanie budżetowe, w czasie którego przewodniczący podkomitetu budżetowego, John J. Rooney zwrócił się do dyrektora Agencji Informacyjnej USA, Leonarda Marksa z następującym pytaniem: „Widzę, że we wczorajszej „Evening Star” wspomniano o specjalnym programie CBS pt. „Na żołdzie CIA: dylemat amerykański”. Ktoś z tej stacji oświadczył: „Jeżeli odpowiesz na apele radia Wolna Europa w telewizji, to czasopismach, a nawet w autobusach i w kolejkach podziemnych, staniesz się częścią organizacji będącej przykrywką dla CIA”. Panie Marks, byłem pod wrażeniem, że niemal każdy wie, iż radio Wolna Europa jest subsydiowane przez rząd od wielu lat. Czy pan widzi coś zaskakującego w tym całym businessie, w fakcie, że oni kierują radiem nastawionym na żelazną kurtynę i używają funduszy rządowych jako pomocy w tym programie?”

Dla jasności trzeba powiedzieć, że pieniądze CIA nie są namiastką oficjalnych subsydiów rządowych, lecz mają wyłącznie charakter dywersyjny — wywiadowczej dotacji operacyjnej. Pan Marks odpowiedział, oczywiście, że nie widzi w tym nic zaskakującego. Wojna psychologiczna, jaką prowadzi Wolna Europa, paryska „Kultura” i podobne im ośrodki z krajami socjalistycznymi jest dobrym businessem. Opłacalnym. Gdyby bowiem poleżyły koszt zwerbowania jednego intelektualisty do brudnej roboty w „Kulturze” czy Wolnej Europie, to by się okazało, że jest to najtańsza broń, jaką wywiad amerykański produkuje dla najbrudniejszej wojny.



Literatura

♦ Po IV zjeździe Związku Pisarzy Radzieckich 190-osobowy zarząd wybrał sekretarzem Konstantina Fedina. Zamykając obrady B. Polewej stwierdził, że zjazd był wyrazem wspaniałej jedności i przyjaźni pisarzy radzieckich, zarówno twórczej jak też ideowej.

♦ 5-3 tysięcy osób dziennie odwiedza XII Międzynarodowe Targi Książki, które odbyły się w Warszawie. Z NRD uczestniczyło 81 wydawnictw, Francja pokazała 600 książek, 43 stonka zajęły firmy włoskie itd.

♦ Z udziałem twórców i krytyków z różnych stron kraju w Toruniu odbył się tradycyjny, V już z kolei „Maj Poetycki”. Tegoroczne spotkanie zainicjował i kontrowersyjnymi problemami współczesnej poezji polskiej, 2-dniową imprezę wypełniły również wieczory autorskie. Odbyły się turnieje poetyckie. Na konkurs trzech wierszy napłynęło 24 zestawy z całej Polski. Jury pod przewodnictwem Jana Spiewaka przyznało dwie drugie nagrody Ryszardowi Milczewskiemu-Bruno z Grudziądza i Adrianie Szymańskiej z Szczecina.

kilku godzin. W 1966 r. wydało „Ogniem i mieczem”. Już po paru dniach książka ta zniknęła z półek księgarskich. Wkrótce ukazał się drugi tom trylogii — „Potop”, tłumacząc ją pracując już nad „Panem Wołodyjowskim”. „Narodna Kultura” wydała też „Quo vadis” Sienkiewicza i drugie wydanie „Chłopów” Reymonta.

♦ Angielskie wydawnictwo „Bell i syn” wydało drukarnię „Diariusz” Samuela Pepysa z 1703 r. Urząd podatkowy zażądał od wydawcy, aby autor zapłacił natchemniast podatek dochodowy i trzeba było wielu zabiegów, aby udowodnić, że to jest niemożliwe.

♦ W wieku prawie 83 lat zmarł w Anglii John Massfield, mroczny tytuł „Poeta laureat”. Zgodnie z XV wiekową tradycją był oficjalnym poetą, układającym wiersze na uroczyste okazje dworu angielskiego i publikowane tylko w „Timesie”. Otrzymał za to 47 funtów rocznie.

Sztuka

♦ Zakopiański artysta plastyk Stanisław Zbigniew Bojarski postanowił stworzyć dla miasta jedyną w swoim rodzaju „Galerię zakopiańskich głów”. Chodzi tu o sławnych



Wystawa światowa Expo-67 w Montrealu zachwyca zwiedzających pomysłowością i nowoczesnością, niekiedy niemyślnymi formami plastycznymi. Tymczasem afisze propagujące kanadyjskich limit lotniczych, mające zachęcać do zwiedzania wystawy, mocno trąca myśką.

♦ W szczecińskim Klubie „13 muz” odbyła się uroczystość wręczenia dorocznej nagrody Szczecińskiego Towarzystwa Kultury. Otrzymał ją w tym roku Janusz Siawicki za całokształt działalności krytyczno-literackiej w dziedzinie poezji. W ub. r. laureatem tej nagrody został Mieczysław Jastrun.

♦ W zbiorach Biblioteki Miejskiej w Bydgoszczy, sięgającej początkami XV w., przetrwał jedyny na świecie kompletny egzemplarz ulotki z 1483 r. zawierającej „reguły” Hieronima Savonaroli (1432-1498). Ten „biały kruk” został przypadkowo odkryty podczas badania makatury użytej do okładziny jednej ze starych ksiąg. Tkwił pomiędzy deską i skórą oprawy.

♦ W Krakowie otwarto wystawę polskich haftów średnio-wiecznych. Zgromadzone na niej 61 eksponatów wypożyczone z muzeów Wrocławia, Gdańska, Warszawy, Kórnika i Krakowa. Wśród eksponatów znajdują się hafty z Dłuskiego, Malickiego, Stolarczyka, Kasprawicza, Karłowicza i Goszczyńskiego. Borejsza przekazał już piękne, stylowe świetlicy PTTK, gdzie mieścić się będzie galeria.

♦ W Krakowie otwarto wystawę polskich haftów średnio-wiecznych. Zgromadzone na niej 61 eksponatów wypożyczone z muzeów Wrocławia, Gdańska, Warszawy, Kórnika i Krakowa. Wśród eksponatów znajdują się hafty z Dłuskiego, Malickiego, Stolarczyka, Kasprawicza, Karłowicza i Goszczyńskiego. Borejsza przekazał już piękne, stylowe świetlicy PTTK, gdzie mieścić się będzie galeria.

♦ 455-letnie dzieje polskiej książki morskiej zamyka liczba ok. 2700 tytułów, z czego blisko 1800 wydanych w Polsce Ludowej.

♦ „Poezja jest jak ptak, nie uznaje granic... Ja wiarę w nogę, ale bogiem dla mnie jest prawda... Kapucyni, w których klasztorze miałem wczoraj poetyckie, są uroczy, ale nie rozumiem, jak mogą żyć bez kobiet!” — oświadczył Jewtuzhenko po dwutygodniowym pobycie w Barcelonie i Fatimie.

♦ W Gdańsku powstał nowy salon wystawowy pod patronatem Apollina i Mercurgo. Mecenas nad placówką sprawuje z ramienia tego pierwszego Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki. Drugie bóstwo „reprezentują” handlowcy, którzy na ten cel przeznaczili pomieszczenia swego domu kultury. W salonie, poza ekspozycjami, prowadzona będzie również sprzedaż dzieł sztuki. Działalność nowej placówki zainaugurowała wystawa malarstwa gdańskiego artysty — Włodzimierza Łajmanga.

♦ Setną rocznicę urodzin Władysława Reymonta uczliła również jego rodzina w Warszawie. Wiele kobiet koło Radomska. Tu w 1958 r. umieszczono tablicę namalowaną na budynku szkoły, nowicjusz imię wielkiego syna Ziemi Radomska, czeskiej. Obecnie z inicjatywy ZMW i ZMS oraz dzięki czynności społeczeństwa miejscowej młodzieży, stanął w Kobieliach Wiskich w ogrodzie szkolnym obelisk, upamiętniający rocznicę urodzin pisarza. Napis na obelisku głosi: „Wł. St. Reymontowi, laureatowi Nagrody Nobla, wielkiemu piśmiennemu ojczyźnie, młodzieży radomszczańskiej”.

♦ W wieku 91 lat zmarła w Paryżu Mela Mutter, przyjaciółka Chasalla. Prasa pisze, że pochodziła ze wschodniej Polski, skąd wyemigrowała przed 60 laty.

♦ Ostatnie afery z wykryciem fałszywymi obrazami spowodowały, że w dystyngowanym dzienniku paryskim „Le Monde” ukazało się takie ogłoszenie: „FAŁSZYWE OBRAZY — 6000 arcydzieł sztuki, reprodukcji o zderzającym podobieństwie, do sprzedania w cenie F 125 do 350... Autorzy: wizerunki fałszywe, sprawa wam tyle radości co oryginalny!”

♦ Ukazujące się w Londynie czasopismo „Topolski Chronicle” ma już 2 tysiące abonentów. Obecnie ukazują się tam m. in. rysunki polskiego malarza powstałe w wygnaniu podróży do Chin, Mongolii i Wietnamu.

♦ W znanej galerii londyńskiej „West Endu”, „Hamilton Gallery” otwarta jest wysta-

wa 11 aluminowych płaskorzeźb Alabry Pniowskiej noszących nazwę „Zamknięte formy w przestrzeni”. Jest to już czwarta wystawa prac polskiej plastyczki w Londynie. Ekspozycja oceniona została w wysoko przez krytyków. Szereg prac kapiono do prywatnych kolekcji londyńskich.

♦ Hitlerowcy przekazali muzeum w Lipsku, Getyndze i Hamburgu 132 eksponatów z dziedziny polskiej sztuki ludowej i sztuki narodów Azji, Afryki oraz Ameryki Południowej, należących wówczas do Miejskiego Muzeum Etnograficznego w Łodzi. Obecnie do Łodzi wraca 200 przedmiotów zachowanych w Lipsku. Są to eksponaty, związane z kulturą materialną wielu egzotycznych ludów: stroje odzieżowe, narzędzia, tkaniny, obiekty kultury religijnej. Po ich odzyskaniu Muzeum Etnograficzne i Archeologiczne w Łodzi będzie mogło utworzyć dział etnologiczny egzotycznej.

Muzyka

♦ W czerwcu przypada 200 rocznica urodzin wybitnego niemieckiego kompozytora Georga Philippa Telemanna. Telemann to jeden z najwybitniejszych mistrzów baroku, w operach współczesnych stawiany wyżej niż słynny Jan Sebastian Bach. Kompozytor ten pozostawił ogromną spuściznę twórczą, obejmującą 49 oper, 44 pasje, 600 suitt i uwerturni koncertowych, 12 rocznicowych kantat i oratoriów, wiele oratoriów, sonat i okolicznościowych utworów. Telemann w swojej autobiografii wspomina z wielkim entuzjazmem o polskich pieśniach i tańcach ludowych. W jego dziełach nietrudno dostrzec wyraźne zapożyczenia z naszej muzyki, wiele kompozycji nosi też polskie tytuły, np. „Koncert polski”, „Sonety polskie”. Piękną formą uczczenia 200-lecia urodzin tego tak silnie związanego z polską kulturą kompozytora niemieckiego kompozytora będzie „Dni muzyki G. Ph. Telemanna” w Warszawie.

♦ Wielkie audytorium wydziału prawa uniwersytetu paryskiego ma stać się miejscem prezentacji muzyki współczesnej. W jednym z pierwszych koncertów pokazano także film Ludwika Perskiego „Portret drygenta” czyli Witolda Rowickiego.

♦ 14 tysięcy km przeleci samolotem 80 tancerzy opery w Nowosybirsku, aby wziąć udział w VI festiwalu im. M. Ralais w Paryżu.

Telewizja

♦ Na Węgrzech znaleziono odpowiedź na serię filmów szpiegowskich z Jamesem Bondem: tamtejsza telewizja kończyła się agencją wywiadu Zahowie, który uniemożliwił działalność Jamesa, skierowanego przeciw krajom socjalistycznym.

♦ „Dozwolone w nocy” — audycja pod tym tytułem cieszyła się wielkim powodzeniem w telewizji francuskiej. Nagrywane w Szwajcarii około północy przy spotkaniu bardziej znanych ludzi. Ponieważ jednak podchmieleni najczęściej uczestnicy mówili często rzeczy niezbyt obyczajne nadawanie audycji przzerwano.

♦ Telewizja czechosłowacka przygotowuje serię filmu o partyzantach francuskich walczących w Czechosłowacji.

♦ W III programie telewizji zachodniemieckiej nadany został polski film fabularny „Baza ludzi umarłych”.

Polonica

♦ W Jugosławii przebywał regionalny zespół pieśni i tańców „Cepilja” z Poznania, który dał 7 koncertów w Skopje i kilku innych miastach macedońskich, zyskując aplauz widowni i przychylną ocenę prasy. Zespół ma w swym programie tańce i pieśni regionalne Wielkopolski oraz tańce narodowe.

♦ Pełnym powodzeniem zakończyło się tournée zagraniczne zespołu folklorystycznego Studium Nauczycielskiego w Toruniu, który zaprezentował w Bułgarii i Czechosłowacji program pt. „Od Tatr do Bałtyku”. Program składał się z piosenek, tańcem i muzyką. Program został opracowany w języku esperanto.

♦ Żyje zainteresowanie wzbudziła wystawa sztuki polskiej w Belgradzie. Ekspozycja z 20 obrazów, 23 grafiki i 9 rzeźb, m. in. dzieła Dunikowskiego i T. Kulisiwicza, poświęcone walce narodu polskiego z okupantem hitlerowskim.

♦ Na zaproszenie Teatrów Miejskich w Ben Kazerim Dejmek reżyseruje przedstawienie adaptacji scenicznej powieści Jerzego Andrzejewskiego „Ciemność kryją ziemię”. Scenografie opracuje Iwona Zaborowska.

♦ Kierownictwo holenderskiego zespołu „Het Nieuw Ballet” zaproponowało choreografowi Opery Poznańskiej Konradowi Drzewieckiemu wystawienie baletu Franciszka „Wariacje 414”.

♦ Soliści baletu Opery poznańskiej — Olga Sawicka i Wiesław Kościelak zostali zaproszeni do udziału w przedstawieniach „Giella” Adama i „Jezióra łabędziego” Czajkowskiego w Warszawie.

♦ Po występach w Lublinie polska skrzypkaczka Wanda Wilkomirska wystąpiła w Belgradzie, Dubrowniku, Skopje i Niszu.

♦ Francuskie pismo „Les lettres françaises” wydrukowało dwa artykuły: „Strasza Sтерна o poecie francuskim Guillaume Apollinaire, z pochodzenia Polaku. Autor stwierdza, że wiele niezrozumiałych dotąd dla krytyków francuskich utworów czy fragmentów wiąże się z wspomnieniami autora o jego polskim pochodzeniu, legendach rodzinnych itp.

Film

♦ 3 czerwca rozpoczął się w podwalejskim grodzie VII Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych, a po jego zakończeniu, 6 czerwca nastąpiła inauguracja IV Festiwalu Międzynarodowego, który trwał 6 dni. Wszystkie nametrażowe filmy krótkometrażowe zgłoszono do konkursu ogólnopolskiego 132 filmy, z których komisja selekcyjna zakwalifikowała 62.

♦ Znana powieść Iifa i Pietrowa „Złoty cielak” przenosi na ekran reżyser Michał Szwajcer.

esynie społecznym, trzeba wyznaczyć wielki dom Kultury w Zacharciu (pow. Tarnów) szereg nowych bibliotek gromadzkich, m. in. w Smiginie i Łace Siedleckiej, nowe szkolne ośrodki kultury oraz ok. 30 klubów wiejskich. W nowym roku Dom Kultury Tarnowskich Asołów rozpoczął działalność klub TPPR; załoga fabryki siłników elektrycznych w Tarnowie otrzymała, wybudowany w czynie społecznym, letni amfiteatr.

♦ W ramach Dni Osiwlaty, Książki i Prasy z udziałem społeczeństwa oraz władz wojewódzkich uroczyste oddany został do użytku odbudowany zamek w Ketrzynie. W salach zamku mieści się biblioteka powiatowa, muzeum oraz Powiatowy Dom Kultury.

♦ Z inicjatywy działaczy kulturalnych budowany zostanie w Opocznie międzyzakładowy dom kultury im. T. Sygietyńskiego — twórcy zespołu „Mazowsze”.

♦ We Wrocławiu powstało z inicjatywy Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Zarządzenia Aktorów SPATIF — trzyletnie, pomaturalne studium aktorskie teatrów lalek. Studium obejmujące sześć semestrów i kształci aktorów-lalkarzy do pracy zawodowej w teatrach i teatrach lalek. W kraju działają obecnie 24 teatry tego rodzaju. Ukończenie studium aktorskich teatrów lalekowych i złożenie egzaminu kwalifikacyjnego po 3 latach studiów w Warszawie i Katowicach, pełne uprawnień aktorskie.

♦ W Krakowie Teatr im. Słowackiego i Drukarnia Związkowa obchodzą 50 laty z inicjatywy A. Grzymały-Siedleckiego podpisano umowę o współpracy. Na jubileusz wyławiono „Dom otwarty” M. Bałuckiego.

♦ W Lubstroniu w woj. bydgoskim odbyło się ogólnopolskie sympozjum nt. „Zabytki — ośrodkami turystyki”, zorganizowane z inicjatywy Ministerstwa Kultury i Sztuki, GKKFIT oraz Prezydium WRN w Bydgoszczy. Wszyscy mówcy zgodzili się na fakt niewykorzystania wielu atrakcyjnych dla turystyki zabytkowych budowli, jak np. renesansowy zamek w Nieońce, Krzemionki Opatońskie na Kielecczyźnie czy pięknie położony zamek w Janowcu nad Wisłą.

♦ W Sofii zakończył trzynie dniowe obrady I Bułgarski Kongres Kultury z udziałem 1600 delegatów reprezentujących środowiska pisarzy, artystów, teatru, muzyki i architektury, stowarzyszenia, organizacje i instytucje kulturalne. W toku obrad Kongresu przedyskutowano problemy związane z dalszym kształtowaniem socjalistycznej kultury, wzbogacaniem społeczeństwa o nowe wartości duchowe i materialne, dalszego ożywienia środowisk twórczych i wywołanie nad pomnażaniem dorobku kulturalnego Bułgarii. Wiele uwagi poświęcono nowym społeczno-państwowym formom kierowania całym frontem kulturalnym Bułgarii.

♦ Londyński Royal Ballet wystąpił w nowojorskiej Metropolitan Opera z premierą baletu francuskiego Rolanda Petit „Niebo”.

♦ W okolicach Fezzan w Libii odkryto zupełnie dobrze zachowane resztki fortecy z okresu rzymskiego, Murzy z fortyfikacjami ciągnęły się 2 km.

♦ Nell Simon jest w USA w tej chwili niezwykle popularna. Jego cztery różne sztuki grane są jednocześnie w czterech teatrach na Broadwayu w Nowym Jorku, premiera piątej nastąpi jesienią.

♦ W Jugosławii przebywał regionalny zespół pieśni i tańców „Cepilja” z Poznania, który dał 7 koncertów w Skopje i kilku innych miastach macedońskich, zyskując aplauz widowni i przychylną ocenę prasy. Zespół ma w swym programie tańce i pieśni regionalne Wielkopolski oraz tańce narodowe.

♦ Pełnym powodzeniem zakończyło się tournée zagraniczne zespołu folklorystycznego Studium Nauczycielskiego w Toruniu, który zaprezentował w Bułgarii i Czechosłowacji program pt. „Od Tatr do Bałtyku”. Program składał się z piosenek, tańcem i muzyką. Program został opracowany w języku esperanto.

♦ Żyje zainteresowanie wzbudziła wystawa sztuki polskiej w Belgradzie. Ekspozycja z 20 obrazów, 23 grafiki i 9 rzeźb, m. in. dzieła Dunikowskiego i T. Kulisiwicza, poświęcone walce narodu polskiego z okupantem hitlerowskim.

♦ Na zaproszenie Teatrów Miejskich w Ben Kazerim Dejmek reżyseruje przedstawienie adaptacji scenicznej powieści Jerzego Andrzejewskiego „Ciemność kryją ziemię”. Scenografie opracuje Iwona Zaborowska.

♦ Kierownictwo holenderskiego zespołu „Het Nieuw Ballet” zaproponowało choreografowi Opery Poznańskiej Konradowi Drzewieckiemu wystawienie baletu Franciszka „Wariacje 414”.

♦ Soliści baletu Opery poznańskiej — Olga Sawicka i Wiesław Kościelak zostali zaproszeni do udziału w przedstawieniach „Giella” Adama i „Jezióra łabędziego” Czajkowskiego w Warszawie.

♦ Po występach w Lublinie polska skrzypkaczka Wanda Wilkomirska wystąpiła w Belgradzie, Dubrowniku, Skopje i Niszu.

♦ Francuskie pismo „Les lettres françaises” wydrukowało dwa artykuły: „Strasza Sтерна o poecie francuskim Guillaume Apollinaire, z pochodzenia Polaku. Autor stwierdza, że wiele niezrozumiałych dotąd dla krytyków francuskich utworów czy fragmentów wiąże się z wspomnieniami autora o jego polskim pochodzeniu, legendach rodzinnych itp.

♦ W Jugosławii przebywał regionalny zespół pieśni i tańców „Cepilja” z Poznania, który dał 7 koncertów w Skopje i kilku innych miastach macedońskich, zyskując aplauz widowni i przychylną ocenę prasy. Zespół ma w swym programie tańce i pieśni regionalne Wielkopolski oraz tańce narodowe.

♦ Pełnym powodzeniem zakończyło się tournée zagraniczne zespołu folklorystycznego Studium Nauczycielskiego w Toruniu, który zaprezentował w Bułgarii i Czechosłowacji program pt. „Od Tatr do Bałtyku”. Program składał się z piosenek, tańcem i muzyką. Program został opracowany w języku esperanto.

♦ Żyje zainteresowanie wzbudziła wystawa sztuki polskiej w Belgradzie. Ekspozycja z 20 obrazów, 23 grafiki i 9 rzeźb, m. in. dzieła Dunikowskiego i T. Kulisiwicza, poświęcone walce narodu polskiego z okupantem hitlerowskim.

♦ Na zaproszenie Teatrów Miejskich w Ben Kazerim Dejmek reżyseruje przedstawienie adaptacji scenicznej powieści Jerzego Andrzejewskiego „Ciemność kryją ziemię”. Scenografie opracuje Iwona Zaborowska.

♦ Kierownictwo holenderskiego zespołu „Het Nieuw Ballet” zaproponowało choreografowi Opery Poznańskiej Konradowi Drzewieckiemu wystawienie baletu Franciszka „Wariacje 414”.

♦ Soliści baletu Opery poznańskiej — Olga Sawicka i Wiesław Kościelak zostali zaproszeni do udziału w przedstawieniach „Giella” Adama i „Jezióra łabędziego” Czajkowskiego w Warszawie.

♦ Po występach w Lublinie polska skrzypkaczka Wanda Wilkomirska wystąpiła w Belgradzie, Dubrowniku, Skopje i Niszu.

♦ Francuskie pismo „Les lettres françaises” wydrukowało dwa artykuły: „Strasza Sтерна o poecie francuskim Guillaume Apollinaire, z pochodzenia Polaku. Autor stwierdza, że wiele niezrozumiałych dotąd dla krytyków francuskich utworów czy fragmentów wiąże się z wspomnieniami autora o jego polskim pochodzeniu, legendach rodzinnych itp.

♦ W Jugosławii przebywał regionalny zespół pieśni i tańców „Cepilja” z Poznania, który dał 7 koncertów w Skopje i kilku innych miastach macedońskich, zyskując aplauz widowni i przychylną ocenę prasy. Zespół ma w swym programie tańce i pieśni regionalne Wielkopolski oraz tańce narodowe.

Różne

♦ Ziemia Krakowska wzbogaca się o nowe placówki kulturalne i oświatowe. Wśród szkieł, wybudowanych w

GEOGRAFIA telewizji w Polsce nie przedstawia się różowo. Mamy w tej mierze dokładne plany rozwojowe, mamy wskaźniki, z których wynika, że gdzieś w roku 1970 ponad 80 proc. kraju i około 90 proc. jego mieszkańców ogarniętych zostanie zasięgiem polskiego programu telewizyjnego. Podkreślam słowo telewizyjnego, gdyż telewizja jest pojęciem narodowym i jak dotąd w naszej części świata program telewizyjny mniej więcej pokrywa się z granicami jednego kraju. Nie jest to oczywiście reguła; nasz południowy sąsiad np., Czechosłowacja, znajduje się pod zasięgiem kilku telewizji ościennych, w Polsce mieszkańcy województw północno-zachodnich mogą odbierać program z NRD, nie mówiąc o Niemczech, ale to są załamywane enklawy. Polska nie jest krajem zbyt górzystym i nie struktura geograficzna kraju uniemożliwia dotarcie programu telewizyjnego do wszystkich jej zakątków; sprawia to zbyt mała ilość łacz.

Sluchacz radia, jeśli mu się polski program nie podoba, nastawia sobie np. Luksemburg i już od dłuższego czasu nikt mu w tym procederze nie przeszkadza. Telewizja nie ma tak szerokiej możliwości, albowiem skazany jest wyłącznie na odbiór swego własnego, telewizyjnego ośrodka; plac, ale nie może wymagać. Nie ma prawa wyboru.

Program większości ośrodków telewizyjnych w Polsce — to przede wszystkim program tzw. ogólnopolski, uwzględniający tylko w skromnej mierze potrzeby różnych środowisk geograficznych. Inaczej jednak być nie może; okazało się bowiem w praktyce, że ośrodki terenowe rzadko są w stanie stworzyć program własny na takim poziomie, aby mógł on być transmitowany na całą Polskę. Brakuje autorów, brakuje wykonawców, brakuje możliwości technicznych. Sytuacja jest czasami wręcz niepokojąca, a jako przykład podaje się zwykle Kraków, miasto o pięknych przecież tradycjach kulturalnych, o znakomitych teatrach. Tymczasem właśnie w tej dziedzinie, właśnie w twórczości teatralnej Kraków na małym ekranie niemal nie istnieje. To samo można powiedzieć o Poznaniu czy o Gdańsku.

Na terenach ziem zachodnich i północnych usytuowane są trzy ośrodki telewizyjne: Wrocław, Szczecin i Gdańsk. Wrocławską iglicę, szczyński port, gdańskiego Neptuna widzimy, zdawało by się, dosyć często na telewizyjnej planszy; znacznie częściej, niż np. planszę wywoławczą Krakowa czy Poznania. Zapewne dobrze to świadczy o ambicjach owych trzech ośrodków TV, ale też obowiązkach ich są znacznie szersze.

Parając się od lat krytyką telewizyjną, jestem szczególnie uczulony na tak zwaną specyfikę telewizyjną. Polska jest krajem różnorodnym nie tylko pod względem folklorystycznym; każdy niemal ośrodek przemysłowy czy kulturalny ma swoje własne oblicze, ma swoje własne problemy. Może najmniej jaskrawo występują one na terenie właśnie ziem zachodnich, gdzie nastąpiła daleko idąca integracja społeczna, ale i tu pojęcie owej specyfiki telewizyjnej jest nadal aktualne. Hasło tej specyfiki nie jest bynajmniej po-

pułarne w samych ośrodkach, twórcy telewizyjni lubią i równać na poziomie ogólnopolski, wydaje się im, że kulturywając jakąś specjalistę de la maison narażają się oni na zarzut partykularyzmu, a słowo partykularyzm bywa czasami straszakiem. Niemniej właśnie ośrodki telewizyjne na ziemiach zachodnich powinny zdobyć się na daleko posuniętą specjalizację — i po części w tym kierunku zmierzają.

Wrocław, korzystając z silnego zaplecza naukowego, a także z bogatej dokumentacji, wyspecjalizował się na ośrodek niemieckojęzyczny; ta jego specjalizacja przyniosła twórcom wrocławskim wiele nagród i wyróżnień. Porusza Wrocław tematykę niemiecką w sposób konsekwentny, czasami może tylko krępując ją zbyt sucho i naukowo, zbyt — powiedziałbym — filologicznie, bez koniecznych tu elementów publicystycznych i polemicznych. I właśnie te programy wrocławskie powinny jak najszybciej wchodzić do programu ogólnopolskiego. Mało — te programy po-

niemieckich marynarzy, próbuje także dać wyraz rozwojowi życia kulturalnego miasta i regionu w sporadycznych „Kronikach” i innych reportażach z ważniejszych wydarzeń kulturalnych. Widać jednak słabość, czasami nieporadność samej redakcji szczyńskiej TV, borykającej się z dużymi trudnościami.

A tradycje samodzielnosci na telewizyjnej fali ma właśnie Szczecin bardzo duże. Był czas — w zamierzchłych już latach, kiedy telewizja polska ledwie ząbkowała — kiedy to niemal każde województwo rościło sobie pretensje do stworzenia własnego ośrodka telewizyjnego i trzeba było dopiero ingerencji „odgórnej”, aby te ambicje trochę ochłodzić. W tym właśnie czasie powstał i ośrodek szczeciński, a ponieważ brak było łącz, umożliwiających w Szczecinie emisję programu ogólnopolskiego, miasto pozostawione było samo sobie i miało telewizję zupełnie autonomiczną. Oddechu zabrakło jednak na dłuższą metę, choć ambicje pozostały

syjnego, który w przypadku Wrocławia wyraża się 5,7 proc., Szczecina 4,9, Gdańska 3,3, czyli nawet mniej od Krakowa. Zaledwie jedną godzinę — na cały miesiąc — emitowany jest gdański program kulturalno-literacki, zaledwie 15 minut pozostaje na ten sam cel Wrocławowi, a 35 minut Szczecinowi.

Słysząc już głosy protestu, że to przecież Warszawa narzuca taki schemat, że to przecież Warszawa nie dopuszcza regionalnych środowisk twórczych przed kamerę itd. Czy rzeczywiście? Pewne schematy i planowanie jest konieczne, ale jakże często ośrodki terenowe nie wykorzystują nawet swego limitu czasu, gdyż nie mają z czym wejść na ogólnopolską antenę. Jakże często proponowany przez nie program jest tak słaby, że nie można dopuścić do jego emisji, zwłaszcza w bardziej reprezentatywnym programie ogólnopolskim.

Dochodzi do tego jeszcze wiele zagadnień, związanych już w sposób bardziej bezpośredni z bazą techniczną. Wrocław, Szczecin, Gdańsk

Szklana karta wizytowa

LESZEK GOLIŃSKI

winni iść na Interwizję. Nie możemy oczywiście sami dyktować, co ma iść na Interwizję, a co nie; wyboru dokonują przecież partnerzy. Wiele zależy tu od atrakcyjności, od sposobu podania problemu; nie mniej korzystnie „eksportu” takich programów w porównaniu z jakże blahymi i kiepskimi pod względem artystycznym i technicznym programami rozrywkowymi, którymi hojnie kraje systemu Interwizji obdarzamy — wydaje się zupełnie nieproporcjonalna.

Jestem krajem, mającym w tej dziedzinie naukowej i publicystycznej absolutne pierwszeństwo, okupione zresztą w sposób tragiczny. To nie telewizje środkowoeuropejskie, to przede wszystkim telewizja polska ma obowiązek ustawicznego sygnalizowania problemu niemieckiego, ustawicznego naświetlania go w sposób możliwie najbardziej rzetelny, ale i atrakcyjny, ustawicznego przypominania o latach dawniejszej i bliższej przeszłości, ustawicznej polemiki z rewizjonistycznymi ośrodkami zachodniemieckimi. A z całej telewizji polskiej — przede wszystkim obowiązek ten spoczywa na wrocławskim ośrodku TV.

Zamysł, aby Szczecin przekształcić na wizytówkę polskich portów i polskiej żeglugi, jest na pewno szczęśliwy; szczyńskie programy w tym zakresie są robione solidnie, rzetelnie, ze znanstwem przedmiotu. I znówu jest pewne „ale”: nazwałbym je zbyt „ekonomiczną” problem. Z wszystkich programów telewizyjnych programy ekonomiczne są na pewno najtrudniejsze, choć mamy i tu w programie ogólnopolskim znakomite przykłady, kiedy twórcy potrafili wyjść z impasu, żeby przypomnieć tylko program warszawski „Pod znakiem jakości”, czy też łódzkie „Próby”. I owszem, próbuje Szczecin swoich sił i w innych dziedzinach; próbował stworzyć np. program z cyklu „Krypionim PL”, o szpiegostwie, uprawianym przez odwiedzających port granicznych, a głównie zachodnio-

i dzięki nim właśnie gościmy Szczecin częściej na ekranach naszych telewizorów, niż ośrodki znacznie, zdawałoby się, zasobniejsze w ludzi, technikę i inicjatywę.

I z tego właśnie powodu mam szczególnie pretensje do Gdańska. I owszem, obok szczyńskiej „Bryzy”, czy „Na morskich szlakach” — nadaje Gdańsk od dłuższego już czasu swoje „Gawędy wilków morskich”, za które również był nagrodzony i chwalony. „Gawędy” stały się już tradycją, ale bynajmniej nie wyczerpują możliwości telewizji gdańskiej. Gdańsk przecież — to nie tylko port i nie tylko stocznia. Gdańsk to także bardzo silny ośrodek naukowy. Gdańsk — to silny ośrodek kulturalny, to — obok festiwalu sopockich — miejsce stałych festiwalu plastycznych, to cieszące się długą tradycją teatryki studenckiej. Nie widać wszystkich tych spraw na małym ekranie; nie widać także prób nawiązania kontaktów kulturalnych z naszymi północnymi sąsiadami, do czego Gdańsk jest szczególnie predestynowany.

Znajduję to zresztą swój wyraz przy porównaniu tak zwanego programu produkcyjnego z programem emisyjnym. Przeciętnie kształtuje się to w ten sposób, że jeśli np. Warszawa emituje własnego programu w skali miesięcznej 192 godzin, jej program emisyjny, na który składają się także programy innych ośrodków, wynosi 258 godzin. Warszawa oczywiście nie jest typowa, już same dzienniki telewizyjne zapewniają jej bezwzględny primat, ale znacznie bardziej pouczające są inne zestawienia. Katowice na 276 godzin programu emisyjnego — nadają program produkcyjny przez 52,5 godziny. Niestety — obok Krakowa — zarówno Wrocław, jak Szczecin i Gdańsk zajmują dalsze miejsca. Wrocław na mniej więcej tę samą ilość programu emisyjnego — nadaje program własny przez blisko 15 godzin, Szczecin przez 13 godzin, Gdańsk przez 9. Bardziej pouczający jest stosunek procentowy programu produkcyjnego do emi-

niadają niemal wyłącznie programy studyjne; bardzo rzadko w miastach tych kamery wychodzą poza mury studia. A co dopiero poza granice miasta? Odpowiedź jest gotowa — brak wozów transmisyjnych. Jeden taki wóz, i owszem, jest we Wrocławiu, ale stoi on na tzw. kołkach i spełnia funkcję urządzeń studyjnych. Można taki paradoks przyrównać np. do właściciela najnowszej samochodu, który używałby go wyłącznie do oświetlenia własnego mieszkania.

Nie powinno żałować się inwestycji na nasze „zachodnie” ośrodki telewizyjne. Powinny być one przede wszystkim wyposażone w najlepszy sprzęt, powinny być wyposażone w wozy transmisyjne, w lepsze studia, gdyż do tej pory jedynie ośrodek wrocławski nowe studio we współczesnym tego słowa znaczeniu otrzymał.

Nie jest to bez znaczenia również sieć teleabonentów na terenie województw zachodnich. Okazuje się, że — wyłączając województwo katowickie, największe obok Warszawy skupisko odbiorców programów telewizyjnych — teny ziem zachodnich skupiają równo jedną trzecią wszystkich teleabonentów w Polsce. Najwięcej jest ich w województwie wrocławskim, bo — według zresztą dosyć przestarzałych danych — około 180 tysięcy, a razem z miastem Wrocławiem — 250 tysięcy. Na drugim miejscu plasuje się województwo gdańskie, na trzecim opolskie. Jedna trzecia teleabonentów w skali krajowej przy tym — to wcale nie skala proporcji, jeśli odliczyć tak wielkie skupiska miejskie, jak Warszawa czy Łódź. Można śmiało twierdzić, że na terenach ziem zachodnich i północnych skupia się połowa wszystkich teleabonentów w Polsce.

I to jeszcze jeden ważny czynnik geografii telewizyjnej naszego kraju. I jeszcze jeden ważny wskaźnik, w jakim kierunku winien iść — w dobrze zrozumianym interesie — rozwój telewizji polskiej w najbliższych latach.

ANDRZEJ GUZEK

Do matki

bo oczom twoim
lata zamglily czulość
popiolem wypalonego dzieciństwa
nadaremnie szukamy
w zbitych gałęziach chmur
porastających pamięć
ly głowy chłopca u swoich kołan
ja zielonego dotknięcia dłoni
miękkiej jak łąka
bo palcom twoim
czas przyszył szorstkość kory
w wyczerpanej rzece
i tylko zawsze znam miejsce
powrotu
w to niskie światło zmarszczek
wąskich ścieżek nieba

Łębowik

BOHDAN
WROCLAWSKI



Edwardowi Stachurze

Błądzą po wzgórzach
każde w brzuchu ścierpłe
życząc im wszelkiej do napłęka
sily
Ziarna są cudze
spadną tuż nad ranem
cisza ich w lustrze podniesiona
drżąca
----- Opadam
rozerwany solą lub kamieniem

Kłobak

STANISŁAW
GOSTKOWSKI

zmęczenie

tak prosto podnieść
światło dłoni na wysokość
oczu i drzeniem powiedzieć
kocham
a potem rozbierać oddanie
ciała do nagości zaspokojenia
lecz ja już nie mam
sil nie stać mnie
na uśmiech kłamstwa
Jestem zmęczony życiem
dłatego pozostanę milczeniem.

Gdańsk

Leopold Staff

„Patrzyliśmy nabożnie na wiechec jego bródki...”
K. A. J.

DZIESIĘĆ lat upłynęło od śmierci Leopolda Staffa, ostatniego z wielkich liryków Młodej Polski. Młoda Polska już się nam mocno posunęła w latach, ale Staff wciąż się nie starzeje.

Maria Dąbrowska w swej wypowiedzi w „Księżce Pamiętkowej” ku czci Leopolda Staffa, wydanej z okazji 70-lecia poety, słusznie zauważyła: „Komuś przypadło w udziale tak jak Jemu czczonym być za życia nie tylko przez rówieśnych, ale przez narastające młode pokolenia?... Komu też, jak Staffowi, danym było nie tylko prekursorem okazać się nowej poezji, ale i jej wzobogacicielem”: Młodzi powojenni poeci, nie tylko grupa „Skamandra”, śmiało mogli powtórzyć słowa Kraszińskiego powiedziane po śmierci Mickiewicza: „My wszyscy z niego”.

Przytoczona na początku motto, wzięte z mojego wiersza, odnosi się do czasów pierwszej wojny światowej, rewolucji i pobytu Staffa w Charkowie, dokąd i mnio wówczas także wypadki wojenne zapędziły. Razem z przyjaciółmi, wielbicielami poezji w ogóle, a Staffa w szczególności, z nabożnym respek-

tem wpatrywaliśmy się w szczipią postać poety z bródką, którego wygląd nie pasował nam jakoś do autora programowego „Kowala”.

Więc i ja we wczesnych swoich próbach literackich pozostawałem pod wpływem ulubionego poety. Urzekal mnie już ładunek poetycki tkwiący w samych tytułach jego zbiorów. Bo proszę, że wymienię tu kilka z tego okresu: „Dzień duszy”, „Ptakom niebieskim”, „Gałąź kwitnąca”, „Uśmiech godzin”, „W cieniu miecza”. (A później przyszyły takie tytuły, jak „Oczy otchłani”, „Szumiąca muszla”, „Ucho igielne” czy „Wysokie drzewa”.)

Kult przyrody i człowieka, miłości i dobroci, piękna i sztuki — oto główne elementy jego wspaniałej drogi poetyckiej. Choć w niektórych wczesniejszych utworach spłacał dług ówczesnej modzie na melancholię, smutek i rozpacz, ale szybko otrząsnął się z tych dekadentkich nastrojów i mimo „tęczy lez i krwi”, która dwukrotnie rozparła się nad światem, zachował optymizm z młodzieńczej „Pieśni o zdobywcu słońca” i wiarę: „Przejdą dni ciężkie kłęski i rozgromu i zapomniemy o ranach i szkodach, Będziemy znówu mieszkać w swoim domu, Będziemy stapać po stopych własnych schodach”, i przekonanie (a nigdy nie był zamkniętym w wieży z kości słoniowej pięknoduchem):

Droga

Umierali, umierają, umierać będą,
Jak żyć będą i żyja, i żyli.
Długą rosą i ściełią się grzędą
Groby tych, co się pracą strudziłi.

A połączny to szlak, pełen sily,
Zagon krwią napojony obfitą.
Na te groby, na te żyzne mogily
Siejmy żyto, siejmy żyto, siejmy żyto.

(„Wiklina”)

Przedśpiew

Czećliel gwiazd i mądrości, miłośnik ogrodów,
Wyznawca snów i piękna i uczestnik godów,
Na które swych wybrańców sprasza sztuka boska;
Znam gorycz i zawody, wiem, co ból i troska,
Złuda miłości, zwatpień mrok, tęsknot rozbitcia,
A jednak śpiewać będę wam pochwałę życia —
Bo żyłem długo w górach i mieszkalem w lasach.
Pamięćla swe dni chumne i dni w słońca krasach
Przechodzę, jakby jakieś wielkie, dziwne miasta,
Z myślą ciężką, jak z dżbanem na głowie niewiasta,
A dżban wino ukrywa i lzy w swojej cieśni.
Kochałem i wiem teraz, skąd się rodzą pieśni;
Widziałem konających w nadziejnej otusze
I kobiety przy studniach brzemienne, jak grusze;
Siedłem przez pola żniwne i mogilne kopce,
Żyłem i z rzezy ludzkich nie nie jest mi obce.
Przeto myślił me, które stoją przy mnie w radzie,
Choć smutne, są pogodne jako starey w sadzie.
I uczeć milowania, radości w uśmiechu,
W zrach widzieć słodyczy smutna, dobroć chorą w grzechu,
I pochwalam tajń życia i w pieśni i w milczeniu,
Pogodny mądrym smutkiem i wprawny w cierpieniu.

(„Gałąź kwitnąca”)

„Bił pięścią w własną pierś,
jak w drzwi spiżowy,
Aby zabrzmiąta straszliwymy
słowy:
Ucisk, niewola, tyrania,
więzienie!”

Aż buchnie z białych ust pieśń,
jak krwi rzeka,
Niby chorągiew, co krzyczy
w przestrzeni:
Wolność człowieka i miłość
człowieka!”

Staff nigdy nie stał w miejscu, każdy jego zbiorek to stopień do większej doskonałości artystowskiej. On, mistrz, do którego z bicim serca pielgrzymował młodzieńki uczeń z pierwocinami swych wierszy — późniejszy przyjaciel, poeta — nie wstydzil się w „Wiklinie” (i nie tylko w niej) uderzać w ton o tyle lat młodszych od siebie — Tuwima i Jasnorzewskiej (np. „Wiersz”, „Stowik”, „Opóźnionemu”). Od wskazanego artystostwa do coraz większej prostoty, której szczyty osiągnął w ostatnich książkach. Zawsze pozostał wierny programowi poetyckiemu swojej „Artis poeticae”:

...niech wiersz, co ze strum się
toczy,
Będzie, przybrawszy rytm i dźwięki,
Tak jasny jak spojrzeńie
w oczy
i prosty jak podanie ręki!”

K. A. J.

Kamena str. 3

Wrocław - miasto teatralne

MARIA
BEHCZYC-RUDNICKA

KAZDY chyba przyzna, że jak świat światem nie podróżowaliśmy tyle, co dzisiaj. Mnożą się z roku na rok podróże dyplomatyczne, kongresy, spotkania profesjonalne, festiwale i sympozja, pociągi przyjaźni i po prostu wyjazdy grupowe pod opieką skrzydełkiem Orbisu czy PTK. Tylko patrzeć a odbierzemy Anglikom palmę pierwszeństwa w globrotterstwie. A gdy się weźmie jeszcze pod uwagę podróże na niby oferowane przez radio i telewizję, to może się wydać, iż niebawem trudno będzie Polakowi znaleźć coś nowego na kuli ziemskiej.

Tymczasem, o paradoksy naszej burzliwej epoki — nowe nas otacza ze wszystkich stron, spotykamy się z nim coraz częściej w granicach własnego kraju.

Właściwie powiedzenie starego Heraklita o rzecze można śmiało strawestować na nasz, polski użytek. Nie wchodzi się dwa razy do tego samego miasta — powiedziałam sobie odwiedzając niedawno Wrocław. Jakże szybko następują tu zmiany.

Po raz pierwszy od czasu wyzwolenia byłam we Wrocławiu z okazji III Zjazdu Literatów Polskich. Dopiero dwa lata przedtem odzyskałyśmy miasto składające się z 30 proc. zabudowań i 18 000 000 metrów sześciennych rumowisk, wśród których gnieździło się zaledwie pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, pozbawionych światła elektrycznego, wodociągów i kanalizacji. W roku 1947 obradowali literaci w cudem ocalałym gmachu uniwersyteckim, posilkim spożywalnym w eleganckiej restauracji — bodaj w Savoy, lecz wystarczyło wychylić się cokolwiek z centrum, by ować ci smutek tragicznych ruin.

Kiedy zawędrowałam do Wrocławia w r. 1965 — cóż za metamorfoza! Było to już miasto z blisko pół miliona mieszkańców, z sześcioma nowo wybudowanymi dzielnicami, z sześciu setkami zakładów produkcyjnych. Nazywano już Wrocław miastem młodzi, bo wyliczono, że 34,5 proc. jego obywateli ma poniżej 17 lat. Posiadając osiem wyższych uczelni, kształcących ponad dwadzieścia tysięcy studentów, stał się Wrocław nie tylko wielkim miastem uniwersyteckim, ale zarazem wybitnym ośrodkiem naukowym, gdzie przeprowadza się cenne badania, zwłaszcza w dziedzinie chemii i matematyki.

Ostatnio znalazłam się we Wrocławiu w maju br. w związku z Międzynarodowym Festiwalem Teatrów Studentek — i trochę wcześniej z racji sesji wyjazdowej Klubu Krytyki Teatralnej.

Teraz uderzyła mnie szczególnie wysoka temperatura życia artystycznego tego miasta, przede wszystkim jego kultura teatralna. Wrocławscy miłośnicy teatru mogą zaspokajać swoją szlachetną pasję aż w osmiu nie tyle jakich placówkach. Kierownictwo artystyczne Teatru Polskiego i Kameralnego sprawuje Krystyna Skuszanka wraz z Jerzym Kraśkowskim. Potrafili oni

nawiązać żywy kontakt z publicznością tworząc właściwy model teatru, oparty na wielkim repertuarze w Teatrze Polskim i na zasadzie „drzwi otwartych” dla eksperymentu — w Teatrze Kameralnym. Wrocław przyciągał też najbardziej awangardowy teatr świata, Teatr-Laboratorium 13 rzedów Jerzego Grotowskiego, realizujący teoretyczne założenia Artauda, z którymi warto kiedyś specjalnie podyskutować, lecz z którymi trzeba się poważnie liczyć. Wysokiej wartości dozna dostarcza widzowi znakomity Wrocławski Teatr Pantomimy, stworzony przez Henryka Tomaszewskiego. Dla uczestników Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Studentekich powstawała „Pantomima” jeden ze swych tegorocznych Wieczorów Jubileuszowych, demonstrując m. in. przepiękną kompozycję przestrzeni pt. „Labyrinth” w subtelnie pomyślanych kostiumach Krzysztofa Pankiewicza (który pracował przez rok u nas w Teatrze Osterwy pod pseudonimem Żralka) — i czarujący „Ogród miłości” przy muzyce Mozarta, ze scenografią Kazimierza Wiśniaka, obraz inspirowany barokowymi pantomimami alegorycznymi.

Opera wrocławska może poszczycić się największą w Polsce liczbą wykonań. M. in. powodem jest tu „Zareczyny w klasztorze” Prokofiewa. Teatr Rozmaitości pokazał gościom majomym pełną poezję sztuki Tymoteusza Karpowicza „Zielone rekawice”, której „młodzieżowa” wersja lublińska mogła oglądać rok czy dwa lata temu na Zamku w reżyserii Zygmunta Foka.

Nie bez żalu wymieniam następną Operetkę Dolnośląską, która zabiera nam, na stanowisko kierownika artystycznego, Barbarę Kostrowską, trzeba jednak obiektywnie powiedzieć: trudno, klimat artystyczny Wrocławia widocznie lepiej służy twórczym osobowościom.

I wreszcie Wrocław też ma jeden z najstarszych teatrów studentekich „Kalambur”, którego poziom można ocenić jako wysoki w skali międzynarodowej. Teatr ten, działający pod dyrekcją Bogusława Litwińca i kierownictwem artystycznym Włodzimierza Hermana, zdolał zacieśnić stosunki z profesurą, dzięki czemu posiada poważne zaplecze akademickie.

Niemale znaczenie dla życia teatralnego miasta ma fakt istnienia Zakładu Historii i Teorii Teatru na Uniwersytecie Wrocławskim. Nawiązywał się ścisłe kontakty między Zakładem a kierownictwami teatralnymi. Najważniejszym zaś składnikiem dobrego klimatu artystycznego jest czynne poparcie władz miejskich, z długoletnim przewodniczącym Prezydium MRN m. Wrocławia prof. Bolesławem Iwaszkiewiczem na czele. Ważnym elementem wrocławskiego życia teatralnego stało się nadto posiadanie aktywnego Towarzystwa Miłośników Teatru. Zwłaszcza że w szkołach — informowała nas na spotkaniu z dziennikarzami K. Skuszanka —



Zespół Centro Universitario Teatrale z Parmy: „Gargantua” Rabelais.

Fot. Jerzy Hankiewicz

koła przyjacielów powstają jak grzyby po deszczu.

Nic tedy dziwnego, że w tym pięknym mieście odbywają się raz po raz festiwale teatralne. A więc w maju, tym par excellence miesiącu kultury — najpierw było osiem dni wymienionego wyżej Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Studentekich, potem nastąpił tydzień pod znakiem VIII Wrocławskiego Festiwalu Teatralnego, na którym nawiązywały się teatry zawodowe w dużej mierze polskim dramatem klasycznym, i nadto na koniec maja zaprojektowano wrocławski festiwal studentki dla teatrów krajowych.

Organizację wzmiankowanego wyżej MFFTS, będącego celem mojej niedawnej wyprawy do Wrocławia, można uznać za wzorową (organizatorzy — ZSP, Rada Narodowa Miasta Wrocławia i „Kalambur”). A przeciw wchodziły tu w grę takie nieblahe sprawy, jak koszt dalekich podróży, wiza i dewiza, mogły one zaważyć ujemnie na frekwencji gości zagranicznych, w istocie zaś zaszło tylko parę zmian w programie.

Projektanci Festiwalu przewidzieli jednocześnie posiedzenie Prezydium Międzynarodowej Unii Teatrów Studentekich (angielski skrót ISTU, polski — MUTS), grupującej obecnie 80 teatrów z 15 krajów. Utrzymuje ona kontakty z Międzynarodowym Instytutem Teatralnym (ITI), którego patronem jest UNESCO. Waga działalności ISTU vel MUTS stanie się jasna, gdy zacytujemy następujące zasadnicze sformułowanie statutu: „MUTS nie uznaje jakiegokolwiek politycznej, narodowościowej, językowej, rasowej czy religijnej dyskryminacji”.

Na Festiwal wrocławski, jak informuje jego Komitet, zostały zaproszone zespoły z programami nagrodzonymi na międzynarodowych festiwalach teatrów studentekich (Nancy, Erlangen, Istambul, Parma, Zagrzeb) oraz na festiwalach narodowych i zespoły zaproszone specjalnie przez Komitet Festiwalowy. Czyli że znalazła się na nim rzecz można sama śmietanka światowego studentekiego ruchu teatralnego. Stąd wniosek dla obserwatorów poszczególnych naszych krajowych festiwali, by nie padali duchem porównując ich poziom z tym lub owym błyskotliwym spektaklem wielkiej imprezy międzynarodowej.

W MFFTS wzięło udział jedenaście zespołów zagranicznych. Były to grupy studentekie z Włoch, z Holandii, z Węgier, ZSRR, Szwecji, NRD, Szwajcarii, Rumunii, Jugosławii (2), Indii. Polskę reprezentowało pięć teatrów studentekich: krakowski „Teatr 38”, i Teatr „STU”, wrocławski „Kalambur”, warszawskie „Hybrydy” i lubelski „Gong 2”. Nie dopisała niestety gdańska „Galeria”, dowiodł też Teatr Antyczny Sorbony i madyrski Teatr Uniwersytetu Literatury — z bliżej nieokreślonych przyczyn.

Brak mi tutaj miejsca na szczegółowe omówienie kilku bardzo ciekawych przedstawień Festiwalu. Wszystkim zespołom — uczestnikom wręczono pamiątkowe plakietki, lecz gdyby były nagrody, jury musiałyby się długo głowić nad tym, komu przyznać pierwszą. Osobiście dalałbym ją ex aequo: zespołowi Centro Universitario Teatrale z Parmy za znakomitą, komunikatywną i dowcipną inscenizację „Gargantua” Rabelais, krakowskiemu „Teatrowi 38”

za awangardową a czytelną interpretację szekspirowskiego „Ryszarda III”, Teatrowi „Kalambur” za „Szewców” Witkiewicza, spektakl, który Jan Błoński ocenił jako najlepszą z widzianych przez niego inscenizacji Witkacego. Niezwykle interesujące formalnie było przedstawienie utrechtackiego teatru występującego pod firmą „ASTU” (Association Studenten Toneel), który ujął w kształt sceniczny staroindyjską opowieść o królu opętanym karmidką miłością do siostry. Na formę artystyczną składały się tu działania aktorskie, obrazy świetlne i efekty dźwiękowe.

Bardzo wdzięczny spektakl w stylu commedia dell'arte zaprezentował teatrzyk „Universitas” z Budapesztu, prostymi środkami wdzięczny efekt osiągnęli studenci bukareszteńscy i powszechny aplauz zdobył Teatr Uniwersytecki z Lozanny — mocno zaangażowanym spektaklem pt. „Marzenie emigranta”, w świetnie, bardzo nowoczesnej scenografii.

Na ogół rzecz biorąc, można zdaje się powiedzieć, że te najlepsze światowe teatry studentekie, nie przewyższając naturalnie najlepszych teatrów zawodowych, niekiedy dorównują im w poszczególnych osiągnięciach aktorskich i scenograficznych, a realizują daleko idące pomysły repertuarowe oraz reżyserskie, na jakie nie zawsze może sobie pozwolić teatr związany planem usługowym i finansowym.

W każdym bądź razie nie ulega wątpliwości, że po studentkim ruchu teatralnym wolno się spodziewać wyników, które będą cennym wkładem w sztukę teatralną w ogóle.

Ze środy na sobotę

ANDRZEJ HAUSBRANDT

Moskwa, środa

PIERWSZY raz w MCHATCie. Brzydki, stary gnach, olbrzymia widownia, wąskie korytarze i kurtyna ze stylizowaną, białą mewą. Wszystko inne niż sobie wyobrażałem, ot jak zawsze przy spotkaniu z czymś, o czym słyzało się tyle i o czym człowiek wyrobił sobie pojęcie „na zapas”. Tłok niesamowity. Tłum różnorodny w ubiorze, stylu bycia, wieku. Jest jednak coś, co łączy tych wszystkich ludzi niewidoczna, a mocna więź: gorący stosunek do teatru. Miłość silna, entuzjastyczna, aż zaskakująca. Mimo tego, że wie się i słyzy tyle o nieprawdopodobnym uwielbieniu teatru w tym kraju i tym mieście.

„Poważne oskarżenie” — Szejnina. Sztuka sensacyjna, na granicę „Kobry”. Może nieco naiwna, na pewno na nasze gusty przydługa (ponad 3 godziny), ale jakże ważna. Ktoś powiedział mi z odcieniem pogardy „kryminalka”. Nie, nie tylko. Sztuka rozprawia się, w dość sensacyjnej formie, z cieniami prze-

szłości. Dobitnie pokazuje na czym przekreślone zło polegało i co czyni się w każdej sprawie i każdym dniu, by to zło nie powróciło. Sztuka mówi o metodach śledztwa.

Poważny, zasużony działacz społeczny i gospodarczy — Loginow — staje nagle pod zarzutem współdziałania przed 40 przeszło laty z białogwardziastami. Początkowo wszystko wskazuje, że oskarżenie jest zasadne, umotywowane niepodważalnymi argumentami. Ale rozpoczyna się drobniagowe śledztwo. Śledztwo, na którego tie Szejnlin rysuje dwie skrajne, lecz jakże charakterystyczne postawy: jedna (gen. Kolołow) pełna nieufności do człowieka stawia znak równości pomiędzy „obwinionym” a „winnym”, druga (Sekrejarz CK w jednej z republik związkowych i młodzieży sędzia śledczy Kargin) nakazuje bezstronne, cierpliwe poszukiwanie prawdy, faktów, badanie każdej wątpliwości, sprawdzanie każdego śladu. A więc subiektywizm, podejrzliwość przeciw obiektywizmowi, przeciw wierze w człowieka. Sztuka kończy się happy end'em. Loginow zostaje uwolniony od podejrzeń, nowe (a raczej przywrócone do życia) normy postępowania zdają egzamin.

Publiczność reaguje żywo. Wychwytuje każdą aluzję, każdą aktual-

ność, śmieje się i wrusza na przemian. Publiczność gorąca, która ceni dobre aktorstwo, teatr i jego związanę z dniem bieżącym. Wspinała publiczność rzadziej.

Moskwa, czwartek

„Śmierć Tariełkina” — Suchowo-Kobyłina w reżyserii Fomińki u Majakowskiego. My powiadamy „spektakl awangardowy”, tutaj mówią „dyskusyjny”. Ostatecznie sprawa nomenklatury. Przedstawienie wspaniałe. Wspaniałe drapieżnością, odwagą, myślą incenizatoraką. Suchowo-Kobyłin staje się tu bliski, pięknie aktualny, ostrzegawczy. Rozprawa ze złem w stylu wielkiej dyskusji o sprawach ogólnoludzkich, ponadczasowych. Ktoś powiada o inscenizacji: „to wprost Kafka”, ktoś inny, że Dürrenmatt. Ja myślę, że po prostu Suchowo-Kobyłin. Ale dzisiejszy, współczesny. Suchowo-Kobyłin Fomińki i nas wszystkich — ludzi drugiej połowy XX wieku.

Moskwa, piątek

Wszyscy w Moskwie i parę osób w Warszawie namawiało mnie; idź, zobacz „Warszawskie melodie” Zorina! Grają u Wachtangowa Poszedłem. Szczególna to sztuka. O miłoś-

ci Polki i Rosjanina. O miłości i przeszłości. Melodramat. Melodramat bardzo sentymentalny i cukierkowy. Cenić w nim wypada intencje, prawdziwą serdeczność, z jaką autor pokazuje Warszawę (a jakże, część sztuki rozgrywa się u nas; na Nowym Świecie, w kawiarni Statlera „Pod gwiazdami”, na pl. Dzierżyńskiego, przed hotelem Sankim...). Walory dramatyczne, literackie są tu słabszą stroną utworu. Natomiast aktorzy: Borysowa i Uljanow — doskonałi. Publiczność wrusza się do łez, z głosników płyną nasze przeboje, a Borysowa śpiewa po polsku „Złoty pierścionek”. Jest coś chwytającego za serce w tym, że Warszawę kochają nie tylko w Warszawie, że wspomina ją ciepło Zorin i Ruben-Simonow — reżyser spektaklu.

Moskwa, sobota

Teatr im. Komsomolu: „Molier” — Bulhakowa. Tu zawsze najważniejszy jest aktor. Aktor i widz — czyli, tak, jak właściwie być powinno. Aktorzy zaczynają się od tego, co zwykliśmy określać mianem „dobry”. Nigdy niżej. Często jest natomiast znacznie wyżej.

„Molier” dość zabałaganiony reżyserko, przerysowany. Ale aktorsko — świetny. I to nie tylko jeśli idzie o takich tuzów jak Pilewin (właśnie Molier), czy Szarwindi (Lurwik Wielki), ale cały, dosłownie cały, zespół. Do najdrobiazkiej roli, najmniejszego epizodu. Rzemięło bez pudła, kolosalna intuicja sceniczna, bogactwo środków ekspresji i niezwykła karność w wykonywa-

niu zadań scenicznych. Nawet wtedy, gdy reżyser poszedł opaczna drogą. Bogaty mają tu teatr, bogaty w dwa największe skarby: widzów i aktorów...

Moskwa, poniedziałek

Jest to najdziwniejszy teatr, jaki zdarzyło mi się oglądać kiedykolwiek. Teatr Sowieckiej Armii. Nie tylko że ogromny (tu wszystko jest wielkie), ale co szczególnie, zbudowany w kształcie pięciokątnej gwiazdy. To ostatnie jest, oczywiście, tylko słodka tajemnicą architektów z lat gigantomanii i odybkarstwa, oraz codziennym doświadczeniem pasażerów samolotów, przelatujących nad Moskwą. Scena olbrzymia: przeszło 30 m szerokości. W ciemności rozsuwa się kurtyna ukazująca niekończącą się głębię, pokrytą nadnaturalną wielkością malarstwa w stylu starego malarstwa cerkiewnego. Dostojne brzozy, spątnowane złoto, głębokie zielenie i szorstkie postacie zatopionych w aureolach świętych. W smudze reflektora, wprost na proscenium, siedzi na białym zrydu, odziany w ciężką, złocistą szatę człowiek. Pełnił wstaje, zdejmując z głowy białą mianową szalę, „czapkę Monomacha”, kładzie ją na zrydu i powolnym, utrudzonym krokiem odchodzi w głąb. W mrok, ku świętemu, menstrualnym malunkom. Iwan Groźny udaje się na „pokajanie”. Tak zaczyna Chejfec „Śmierć Iwana Groźnego” A. K. Tektosia — dzieło wielkiego pisarza, dzieło reżysera (Chejfec), scenografa (Sumbastawili) i aktora (Popow). Później wydarzenia zaczynają toczyć się lawi-

Przypomnienie

IANUSZ BOGUCKI



Malownicza panorama dolnośląskiego miasta Bolesławiec (CAF — Wołoszczuk)

Nie ma literatury regionalnej jest literatura polska

(Dokończenie ze str. 1)

Zielonki (opolanin); bardzo interesująca nowelista Irena Dowgiewlewska (gorzowianka); poezja i proza Janusza Koniusza (zielonogórzanin); proza Adolfa Momota, Ryszarda Liskowackiego, Jerzego Pachlowskiego i Jana Papugi oraz poezja Heleny Raszki i bardzo swoiste piśmiarstwo Joanny Kulmowej (szczecinianin); poezja i proza Czesława Kuriaty oraz poezja Marty Aluchny-Emelianow (koszalinianin) czy proza Klemensa Oleksika (olsztynianin)...

Nazwiska te nie wyczerpują zresztą listy godnych uwagi dokonani. Można by tu bowiem dodać jeszcze wielu autorów; chociażby gdańszczan Jerzego Afanasiewa czy Bolesława Faca... Wylizyłem tylko niektóre zjawiska o charakterze przykładowym. Poza tym, co się rzekło, trzeba zdać sobie sprawę, iż wymienieni pisarze (tytuły książek muszą pominąć, ponieważ zajęłyby one zbyt dużo miejsca) nie tylko swoimi książkami zaznaczają swoje trwale i odrębne miejsce we współczesnej literaturze polskiej, ale poważne znaczenie ma także ich udział w krajowym życiu umysłowym i merytorycznych dyskusjach literackich.

Wspiera ich zresztą na tym polu od kilku lat wcale interesująca działalność teoretyczno-syntetyzująca miejscowej krytyki literackiej, wykraczająca także swoim znaczeniem i autorytetem daleko poza oplotki lokalne. Najwybitniejsze miejsce w owym procesie samouświadomienia literackiego zajmuje ośrodek wrocławski, kontynuujący chlubne tradycje szkoły krytyków prof. Tadeusza Mikulskiego; swojego patrona intelektualnego, do którego nawiązują dzisiejsi publicyści i krytycy, ma także Szczecin w niezapomnianym Franciszku Gilu; aktywny ośrodek krytyków, interesujących się systematycznie przejawami życia literackiego w zachodniej Polsce, znajduje się w Poznaniu...

Pomijając na tym miejscu ośrodek poznański, nie mogę wszakże choćby tylko nie wspomnieć twór-

czego wkładu takich krytyków, jak Ludwik Flaszen, Zbigniew Kubikowski, Jacek Łukasiewicz, Andrzej K. Waskiewicz, Erazm Kuźma czy Michał Misiorny. Fakt krajowego autoru rytmu zachodnich i północnych ośrodków krytyki literackiej, oprócz poprzednio wspomnianych faktów, dowodzi także normalizacji współczesnego życia literackiego tych — do niedawna raczej zasklepionych w sobie i zakompleksionych — środowisk.

Jeśli więc myśleć przy takiej okazji, jak kolejny zjazd pisarzy, o teraźniejszości i przyszłości owych zachodnio-północnych ośrodków literackich Polski, natknijemy się na te same problemy, które występują i są właściwie dużym ośrodkiem centralnym, odczuwającym ciągłość kulturową i długoletnią tradycję. Toteż podobnie jak w Warszawie, Krakowie, Łodzi czy Poznaniu — wszystkie nadzieje o przyszłości literatury polskiej łączymy i tu z najmłodszą wchodzącą generacją literacką. Nadzieje i zarazem niepokoje z racji jej uniformizmu, nieoryginalności, wtórności...

Stąd, sądząc, iż przedmiotem obrad najbliższego, jubileuszowego (dziesiątego z kolei) szczecińskiego i następnego zjazdów pisarzy ziem zachodnich i północnych powinny się stać owe ogólne problemy literackie, jako że coraz wyraźniej zanikają z każdym rokiem podstawy do wyodrębniania jakiegokolwiek subliteratury regionalnej. Łącząc nas natomiast wszystkich losy jednej i najważniejszej literatury polskiej. Tak zwane kresowe skupiska i ośrodki literackie mają więc wszelkie szanse włączyć swój wązki głos do ogólnopolskich trosk nad „de Literatura emendanda”.

A to oznacza także potrzebę zastanowienia się nad dalszym rozszerzeniem zakresu tematycznego instytucji zjazdów pisarzy ziem zachodnich i północnych. Nie jest to zresztą myśl ani moja, ani nowa — wypowiedziano ją bowiem na poprzednich zjazdach, między innymi rok temu w Bydgoszczy.

Feliks Fornalczyk

JEDNA z cech naszego życia artystycznego jest jego ciągłość zbyt wąska. Dzień dzisiejszy nie karmi się tu dostatecznie tym, co było wczoraj. Wydaje się, że zarówno nowatorzy jak tradycjonalista z młodszych generacji określają swe stanowisko raczej w stosunku do sygnałów aktualnych dochodzących z międzynarodowego rynku sztuki, niż w stosunku do zdarzeń ledwo minionych we własnym, bliższym środowisku. Nie jestem bynajmniej zwolennikiem kultu rodzimoci — dysproporcja ta jednak wydaje się istotnym schorzeniem. Jeśli zważyć, że wspomniane sygnały ze strefy międzynarodowej docierają do nas w postaci przypadkowej, fragmentarycznej i opóźnionej, pocztą niemal pantoflową (wobec braku zorganizowanej informacji) a z drugiej strony znaczące niedawno postaci i zdarzenia miejscowe tak łatwo ulegają zapomnieniu — trudno się dziwić, że młode środowiska artystyczne wchodzą u nas w życie w stanie osobliwej niewinności. Nieświadome tradycji lokalnej (ani więc do niej nie przywiązane, ani nie będące z nią w sporze), skąpo niepokozone wiadomościami ze świata i nie traktujące ich zbyt serio. Jakże często w rezultacie ograniczone tym skromnym polem widzenia, które wytycza z jednej strony suma sprawności i nawyków wyniesionych z uczelni, a z drugiej strony praktyczna problematyka urzędzenia się zawodowego gdzieś w Polsce wielkomińskiej, wojewódzkiej lub powiatowej.

W Krakowie na wystawie retrospektywnej Marii Jaremy urządzonej w lat kilka po jej śmierci — grupa starszych studentów tamtejszej Akademii po raz pierwszy oglądając dzieła artystki dotychczas zupełnie im nie znanej, zaskoczona była wiadomością, że ma do czynienia ze zjawiskiem należącym już do historii. Dla dzisiejszych dwudziesto czy trzydziestolatków artystycznych czasy socjalistycznego realizmu, kolejne „Wystawy Sztuki Nowoczesnej” czy głośna ongiś demonstracja młodej plastyki w warszawskim „Arsenale” — to nie tylko przeszłość, ale jakże często fakty nieznanne lub ledwie znane z zasłyszania, nieobecne i obojętne.

Tę nie tylko wśród młodych dostrzegając skłonność do niepamięci i nieskłonność do zdobywania informacji — różnie się dziś tłumaczy i uzasadnia. W Polsce zanik żywych periodyków artystycznych i wystaw o charakterze historyczno-problemowym — zaliczyć wolno do dodatkowych okoliczności łagodzących. Bo skąd się dowiedzieć, jeżeli się nie wie, i jak pamiętać, gdy nikt nie przypomina?

O sprawach tych pomyślałem — chcąc nie chcąc — przyszedłszy na otwarcie wystawy prac wybranych Waldemara Cwenarskiego w warszawskim Domu Plastyka. Tylko mała gromadka przyjaciół galerii

przybyła na tę okazję. Nie było ani ważnych osobistości, ani reprezentantów eleganckiego świata stolicy tak obojętnie odwiedzających inne wernisaże. Prócz jednego bodaj Jana Dalenziora nie zjawili się nikt z pokolenia dzisiejszych czterdziestolatków — uczestników wystawy w „Arsenale” w roku 1955. Jeżeli oni o Cwenarskim zapomnieli, mniej jest dziwne, że nie pamiętali o nim ci, którzy dzisiaj należą do młodych.

Słusznie więc uczyniono przypominając wystawą postać i niewielki ilościowo dorobek tego malarza. Cwenarski nie dożył wystawy w Arsenale. Zmarł niespodziewanie, mając 27 lat. Stał się wszakże postacią sztandarową ówczesnej zbudowanej przeciw akademizmowi młodzieży artystycznej. Przyjaciele — wrocławianie przywieźli jego obrazy do Arsenalu, gdzie zyskały rozgłos ogólnopolski. Przenikająca je pasja ekspresjonistyczna, gwałtowność uczuciowa i swobodna siła malarskiego działania — przyniosły sławę pośmiertną autorowi jako bohaterowi tragicznemu swojej generacji. Jego konflikt z poprawnym optymizmem sztuki oficjalnej i z ówczesnym systemem nauczania, jego nagle przecięte życie — uczyniły zeń postać na polu legendarna w polowie lat pięćdziesiątych. Prace jego wystawiono wówczas parokrotnie, wydano nawet małą monografię. Później przemiany artystyczne we wznowionym dialogu ze sztuką innych krajów i wątkami tradycji własnej — skomplikowały się i poszły nowymi torami. Arsenalowiec skupieni na krótko pod znakiem ekspresjonistycznej rebelii młodzieżowej, rozeszli się niebawem w różne strony. O Cwenarskim dość prędko zapomniano.

Oglądając dziś na nowo jego prace łatwo stwierdzić, że jest to wczesny przejaw wybitnej osobowości, której pełne urzeczywistnienie twórcze mogło dopiero nastąpić. Ale w obrazach takich jak „Autoportret”, „Pieta”, „Ukrzyżowanie” — nad pewną surowością czy naiwnością malarską, przeważa prawda wewnętrzna doświadczenia, nie przeogłona po młodzieńczości, wzmoczona surowym ładem lakonicznych form.

Dlatego są te obrazy i liczne szkice Cwenarskiego czymś więcej niż malarskim okrzykiem buntu i cierpienia. Są sygnałem rodzenia się twórczości namętnej i rzetelnej, sygnałem dojrzenia artysty bez kompromisowego, malarza, którego siła moralna nie ustępuje sile wyobraźni.

Są to rzeczy ważne dla życia sztuki i szczególnie godne przypomnienia wtedy, gdy w nadmiarze rozbieżnych aktualności — zdają się niknąć z oczu.

ZBIGNIEW FALKOWSKI

Jantar

Witoldowi Popiołkowi

W kamiennych jezdnich i drzewiej naucele kwitły magnolie wiatr rozwieszał sieci w kropki bursztynu i Perkuin iskry kotwiczył w zbrojach dlatego pachnieź morzem moich ojców sośnino

Gdańsk

ANNA MARKOWA

„Temat”

JESZCZE wtedy nie wiedziałam, że przy tym okrągłym, starożytnym stole, dokładnie naprzeciwko mnie — siedzi właśnie on, bohater mojej książki. Nie wiedziałam o tym, kiedy przynosił z kuchni kawę, zaparzoną przez jego żonę, kiedy pedantycznym, nawykowym gestem zgarniał dłonią ze stołu, z szedelkowej serwetki, zaplątane tam przypadkiem okruchy pieczywa z kolacji, kiedy pokazywał amatorskie zdjęcia dzieci, przebywających na studiach. Wcześniej też nie zorientowałam się, chociaż przez wiele godzin chodziłam obojętnie po mieście, „tropami przeszłości”, jak to się schematycznie określa. Ja z podręcznym magnetofonem, a on po prostu z tą swoją fenomenalną, prawie fotograficzną pamięcią, która pozwalała bezbłędnie odzyskiwać poszczególne budynki, ludzi, wydarzenia, ulice.

Robiłam ot, taki sobie, zwykły rocznicowy radiowy reportaż, o tym, jak tu było dawniej, przed dwudziestu laty, w czasach jego młodości „górnej i chmurnej”, w czasach, kiedy na tych ulicach fruwało pierze z rozprutych poduszek, okna straszły resztkami sreb, a nogi zmęczonych wędrowców potykały się co krok o kłęby zarzewiałego drutu i pagórki gruzu.

Ten człowiek prowadził mnie śladami swojego życia, bez patosu i chęci „pokazania się”, bez sentymentu nawet, dokładnie i rzeczowo. W budynku rozkrzyżowanej, gwarnej szkoły odnalazł klasę, a w tej klasie kawalek miejsca pod oknem, gdzie spędził na prowizorycznym postaniu swoją pierwszą polską noc. W jednym z urzędów trafił do pokoju, w którym przed laty rozstrzygał trudne sprawy ludzi tak samo jak on świeżo tu przybyłych, wymęczonych przez wojnę, często-gęsto obdartych i głodnych „pionierów”.

Odnalazł miejsce, gdzie otworzono pierwszy po wojnie sklep, przypomniał sobie nawet imię... wojskowego konia, który wozził po mieście chleb. I jeszcze mówił o tym, jak przeprawiali się wplawki, razem z tym zaprzężonym do wózka koniem, przez pewien odrzański bród i jak ten, na ogół poczciwy koń „zbiesił się” któregoś dnia i uciekł w stronę Wójtowej Wsi — sabotując w ten sposób niezwykle ważną sprawę aprowicacji miasta.

Opowiadał o tym wszystkim, a ja wciąż jeszcze nie wiedziałam, że oto siedzę vis-a-vis jednego z bohaterów tej, nawet jeszcze nie zaczętej książki.

Dopiero wieczorem, kiedy wróciłam do domu z krząkami taśmy petyni głosił i wspomnień — kiedy, tuż przed snem — raz jeszcze odzwiercał sobie w pamięci miniony pracowity dzień, wtedy właśnie... to przyszło. Z mglawicy pomysłów, z magmy wrażeń i obrazów nagle wyłonił się ten starszy człowiek, tak wyraźny, tak wspaniale „zakomponowany” w autentycznych rozdziałach swojego życia. I zobaczyłam go na kartach nie istniejącej książki. Nie w tym schłodnym i nieco po mieszczańsku zamożnym pokoju, przy stole nakrytym szedelkową serwetką. Zobaczyłam go w mansardowej kłitce, gdzie stoi żelazne łóżko i żarzy się czerwienią piecyk zwany „kozą”. A on sam, o dwadzieścia lat młodszy, grzebie żelaznym pretem w palenisku i opowiada o tym, o czym mówił mi dzisiaj. Opowiada w tedy, a więc mówi o dniu dzisiejszym, o tamtej teraźniejszości. Bez dystansu i bez ustalania hierarchii spraw, bo przecież nie wie jeszcze, co będzie... Nie wie nic o przyszłości, o tym pokoju w pięknej willi, gdzie siedzi przy kawie, o tej wędrowce „śladami tamtych lat”, o reportażu radiowym i artykułach w gazecie, o swojej dzisiejszej nauczycielskiej pracy. Nic o tym nie wie, ale to jednak on, ten sam. Bohater jutrzejszej książki.

Opole

na zbrodni i upodlenia, krwią zmywa się strach, strachem suszy przelaną krew. Korowód dworzan, bojarów, żołnierzy, błaznów, wróżbitów, niedźwiarzy, szpiegów, pustelników, mniichów — przewija się po scenie i tylko jednym jedynym stałym punktem jest złożona na białym zdyżu carska korona: symbol władzy, siły i panowania absolutnego.

Spektakl jest wstrząsający. Spektakl, od którego pamięć nie jest w stanie uwolnić się, ani przed nim obronić. Spektakl najwspanialszych tradycji rosyjskiego teatru, rzutowanych na współczesność, najznakomitszych tradycji rosyjskiego malarstwa szkoły Rublowa. Spektakl doskonały: integrujący wszystkie dyscypliny artystyczne, składające się na to co nazywamy teatrem. Teatrem ogromnym — w przenośni i dosłownie.

Leningrad, środa

„Idiota” Dostojewskiego w inscenizacji Towstonogowa idzie już 3 lata, a mimo to wieczorem teatr nad Fontanką otacza kordon milicji i jeszcze przed wejściem sprawdza bilety. Wokół kordonu setki ludzi. „Idiota” podbił Londyn, „Idiota” nie podobał się w Paryżu, „Idiota” zawojował Leningrad, Moskwę, ściągając nieprzerwane tłumy publiczności. Bilety można dostać tylko cudem, oczekuje się ich miesiącami. Nie dziwnego — sam Smoktunowski (książka Myszkin) godzin jest tego szalu. Sam Smoktunowski, a inni? Lebediew, Popowa, Olchina, Trofimow... cały zespół. O Smoktunowskim — tylko w roli Myszkin — można by napisać osobny esej. Jest

w nim coś, co wymyka się ocenom. Coś, co niewyraża granic między sceną i życiem. Jest to nie tylko niezwykła maestria tego aktora, który łączy w sobie poetycką miękkość i liryzm Cybulskiego z techniką Lomnickiego. Jest to coś więcej. Jeżeli ktokolwiek ma wątpliwości, czy aktorstwo jest sztuką twórczą, czy odzwiercła — niech pójdzie zobaczyć, jak gra Smoktunowski. Ten wysoki mężczyzna o delikatnym rysunku twarzy, kiedy staje na scenie odwrócony plecami do widowni i przez ramie spogląda z lekkim zażenowaniem na nas — jednym ruchem głowy potrafi więcej powiedzieć o bezsilności dobra, niżby to uczyniły tysiące słów. Jego sztuka opiera się na talentcie, pracy i najprawdopodobniej technice. Tylko, że tego wszystkiego nie widać. Nie widać surowca, z którego tworzy on swoje dzieło, ani szwów łączących różne elementy jego sztuki. Widać jedynie olśniewający efekt końcowy: Myszkin'a.

Leningrad, piątek

Znowu w teatrze Gorkiego. „Mieszczanie” wyreżyserowani przez Towstonogowa. Przedstawienie bardzo dobre, ale już nie to, co „Idiota”. Przeladowane naturalizmem, gastronomią, zachodami słońca i całym tym balastem tradycyjnego teatru rosyjskiego. A przecież Towstonogowa stać na styl dużo szlachetniejszy, na większą sprawność i oszczędność. Stać na Dostojewskiego.

Bezimiennowa gra Lebediew. Tak silny, zwarty i skupiony w tech-

nice aktorskiej przedwczoraj, dziś wypełnia scenę historycznym krykłem, histerią, grą... Bardzo dobry Trofimow jako Pierzechichin, ale i rola samograj. Interesujący Pankow (Tietieriew). A może zresztą to ja sam zaczynam wybrzydzać i szukam dziury w całym. Może to mnie rozpuścił ci świetni aktorzy. Są za dobrzy i jak powiadają Francuzi l'appetit vient en mangeant. Ale nie nie poradzę: wolę „Idiota”.

Moskwa, sobota

Z powrotem w Moskwie. Sowremiennik. „Nocna opowieść” — Cholińskiego. Przedstawienie, które na ogół nie podoba się Polakom, a podoba Rosjanom. Wydaje mi się, że ci pierwsi nie mają racji. Bardzo ciekawe rozwiązanie scenograficzne (Lisowski): schronisko z surowych, białych desek. Wszystko jest jeszcze w trakcie budowy. To nadaje sztuce rangę metafory. Świetni chłopcy: Miagkow, Suchowierko, Suworow, Wasiljew, Juszo. Bardzo dobry Lewin w roli Inspektora, która w naszych teatrach była zawsze jakaś drewniana.

Metaforyczność nadana sztuce trochę ją odpolszcza. Dramat rozgrywa się bardziej wszędzie niż u nas. Ale chyba za granicą to właśnie jest słuszne. To ma sens. Sens głębszy, jako że nie o polskiej młodzieży to rzecz, a o sprawach młodzieży w ogóle.

Andrzej Hausbrandt

Kim jestem?

WIESŁAW ROGOWSKI

OPUSCILI powieki. Miał jeszcze ciągle pod nimi obraz tego klasztorowego podwórca, wzdłuż przekątnej przepołowionej linią cienia. Pośrodku zepsuta fontanna, wokół niej trochę wiatru, kamienne płyty, zielenie rosnące w szparach. Lawka, na której siedział, stała pod drzewkiem akacji. Zapach jej był jak zapach słońca, które tu, w cieniu, miało w akacji sprzymierzeńca. Dzięki temu sojusznikowi równie i w tej części podwórca.

Wszystko na nic — myślał Szymon. Zastąpił oczy dłońmi. Patrzył na swoje stopy, zakurzone buty wsparte o piaskowicę. — Nikt mi nie uwierzy. Noszę inne nazwisko. Nie mam żadnych papierów, które stanowiłyby dowód. Nie znajduję ich nigdzie, a wystarczy, że matka wyprze się swoich słów i wtedy będę uznany za kłamcę.

Słyszał za sobą szelest stóp, ktoś zbliżał się; pod murem leżał żwir i kroki były ostre, choć powolne. Nie ruszał się, twarz miał ciągle zasłoniętą. Wyproszą mnie stąd — myślał — ale czy nie mam prawa odpocząć przed odjazdem?

Człowiek zbliżał się, był już za plecami Szymona. Chyba pochylił się nad nim, gdyż jego oddech szeleścił, albo może powiew wiatru poruszył liście akacji.

Szymon poczuł dotknięcie.

— Nie płacz — powiedział ksiądz.

— Nie płacz — odparł. Odstąpił twarz — Odpoczywam

— Przepraszam pana — powiedział ksiądz. Mimo iż był stary, nie potrafił zgubić pośród zmarszczek śladów zaskoczenia; czuł się tak jakby ktoś odebrał mu sens jego czynu, owego gestu litości i pociechy. I tak było rzeczywiście, lecz zmieszanie nie pozwalało księdzu odejść, trzymało go tu, dopóki nie znajdzie jakiegoś sposobu, by się wycofać. Szymon zaś nie ułatwiał mu tego, gdyż i on musiał odczekać; nie spodziewał się przyjaźni, ani współczucia po niechętnym mu i oschłym księdzu, nim zaś pojął, musiał najpierw pogodzić w sobie te dwie sprzeczne cechy owego człowieka.

— Zostawię pana — powiedział starzec.

— Zająłem księdzu miejsce? — zapytał Szymon. — Zaraz odejdę.

— Proszę odpoczywać.

— A może ksiądz zechce usiąść także? Miejsca jest sporo — Szymon odsunął się szybko, gestem dłoni wskazując jak wiele przestrzeni jest pomiędzy nim a krańcem zielonej lawki. Podniósł się nawet, gdyż zdawało mu się, że ksiądz nie da się namówić, więc stał teraz obok akacji.

— Dziękuję — rzekł ksiądz. Ale Szymon nie wiedział, czy człowiek ów odrzuca jego propozycję, czy tylko waha się, by ją jednak przyjąć, a zastanowienie owo jest mu potrzebne tylko po to, aby przydać nieco godności swej decyzji. Patrzyli na siebie, Szymon odwrócił oczy, gdyż nie chciał, aby ksiądz dostrzegł ich wyraz. Nie będąc go prosił — postanowił — nie chce grzeczności zdawkowej i chłodnej. Ale nie potrafił także wymusić, ani wyblagać szczerości tego człowieka, zresztą to się na nic nie zda.

Starzec usiadł, wyciągnął nogi wygodnie takim ruchem jakby zanurzał je w chłodnej wodzie. Szymon stał, niepewny co wypadła mu uczynić, odejść czy zostać, czekał więc na inicjatywę tamtego, czując, że to nie powinno trwać zbyt długo, gdyż inaczej nie pozostanie mu nic innego, tylko odejść. Odejść, lub poprosić, a tego nie chciał robić.

— To dziwne — powiedział ksiądz — nie rozumiem pana.

Szymon milczał. Myślał: sam siebie nie rozumiem, dałbym wiele za to, żeby wiedzieć dlaczego tak postępuję, przecież nic nie zyskam, gdy będę wiedział, a gdybym spotkał ojca, będę nieszczęśliwy.

— Nie było mnie w owych latach — mówił tamten powoli. — W księgach parafialnych wpisywano nazwiska literami gotyckimi, w brzmieniu niemieckim. Nie potrafię odróżnić, komu zadano gwałt w ten sposób, a kto nie protestował w sercu. I nie wiem nawet, po co to panu potrzebne, abym powracał w tamte czasy.

— Mam coś — Szymon odezwał się wreszcie. — Mam list, który wyjaśni wszystko.

Wyjął z kieszeni kartkę Marii, podał ją księdzu. Potem odwrócił się od niego. Dlaczego to robię — myślał — Maria pisała to do mnie,

wyłącznie do mnie, tylko ja wiem, co chciała mi naprawdę powiedzieć, a ten obcy pojmie jedynie to co jest napisane, ani słowa więcej, to znaczy, że nic nie zrozumie.

Ksiądz nie patrzył na Szymona. Trzymał kartkę w palcach, jakby za chwilę miał ją wypuścić. W cieniu akacji siedzieli obok siebie niby dwaj bliscy sobie ludzie w chwili odpoczynku. Szymon bał się, że starzec zasnął. Ale nie miał odwagi zagadnąć go, ani się poruszyć, taka była tu onieśmielająca cisza. O kilka kroków jasny, oślepiający blask słońca na piasku i na marmurowym obramowaniu fontanny, tu spokój i chłód i zapach akacji. Ksiądz powinien mi pomóc — myślał Szymon — to jego obowiązek i powołanie. Jeśli nie jest już otepiał ze starości, to musi za chwilę poruszyć się, powiedzieć coś do mnie. O, na przykład, że powinienem pogodzić się z wola bożą, albo, że pokora wobec wyroków nieba jest cnotą. Ale ten stary ksiądz milczy. Spi, czy może tylko drzemie odurzony wonią tego kwit-

Od autora

Redakcja „Kamena”

Przesyłam jeden króciutki rozdziałik z mojej dopiero co ukończonej książeczki, noszącej roboczy tytuł „Powrót”. Rzecz idzie o to, że młody student, Szymon, po śmierci swojej przybranej matki, Marii, dowiaduje się z pozostawionego przez nią listu, że był synem przybranym. Prawdziwy jego ojciec, Polak z Pomorza, zginął w końcu wojny jako żołnierz Wehrmachtu. Tej sprawie jest poświęcona moja opowieść. Rozdział, który przesyłam, dotyczy momentu, w którym Szymon usiłuje się dowiedzieć od księdza, kim był jego ojciec. Fragment ten zawiera w jakimś sensie konflikt i dlatego wybrałem te słowniki.

ącego drzewa. Albo nie chce nie powiedzieć, czekając aż sobie pójdę. Wstał.

— Chcesz odejść, chłopcze? — zapytał ksiądz nie otwierając powiek.

— Tak — odparł Szymon.

— Więc weź to — podał list i wtedy Szymon zobaczył jego żywe i baczne oczy. Kryły się wśród zmarszczek, pod siwymi brwiami, ale żyły, wbrew pozorom.

— Dziękuję — rzekł Szymon.

— Niedobrze się stało — powiedział starzec. — Ale tego nie uda się już odwołać.

Szymon słuchał z wielką uwagą, nie pojmując o czym on mówi, co uważa za złe, czy to, że przeczytał list Marii, czy to, że Maria w ogóle go napisała, czy wreszcie fakt, iż Szymon przyszedł tu i szuka czegoś, co jest nieznanne, zawiłane i może niepotrzebne.

— Chcę wiedzieć — powiedział cicho.

Ksiądz spojrział na Szymona. Było to spojrzenie życzliwe, dalekie, ale uważne. Uśmiechnął się do chłopca.

— Przejrzałem księgi raz jeszcze — powiedział z wolna. — zanim tu przyszedłem odszukałem to, co interesuje pana. Wiedziałem, że pana tu zastane, gdyby pan odszedł, oznaczałoby to, że kieruje się pan jedynie pustą ciekawością, niczym więcej.

— Dziękuję — powtórzył Szymon. Stał ciągle obok lawki, jedynie dłoń wspierał o chropawą korę akacji, czuł osłabienie, ale nie zwracał na nie uwagi, nie myśląc nawet o tym, aby usiąść.

— Niech pan zapamięta datę ślubu i numer rejestru.

Szymon wyjął notatnik i drżącymi rękami starał się go otworzyć. Opanował się. Niezbyt czytelnym piśmem, chybottliwie rozłożonymi słowami, zanotował datę, numer i adres zamieszkania Jana.

— Nazwisko zapisano w księgach po niemiecku. Ale imię jest takie, jak pan mi mówił. Nie Hans lecz Jan. Może to pana bezsłowa.

Szymon patrzył na list, który mu dał ksiądz. Wiadomość ta wydała mu się mało ważna, nie rozumiał właściwie, o co chodzi temu starcowi. Miał przed oczyma dom, adres ojca, nazwa niemiecka, był bezradny, uświadomił sobie, że nie trafi tam, nie może przecież pytać pierwszego lepszego, panie gdzie jest Adolf Hitler Platz, potraktuj go jak wariata, albo jak Niemca. Opanował się.

— Czy ksiądz nie wie, który to plac, jaka jest jego polska nazwa? — Wiem.

— Błagam, niech mi ksiądz powie. Starzec rzucił nazwę jakby mimochodem i zaraz zapytał Szymona:

— Czy słyszał pan, co powiedziałem do pana przed chwilą?

— Tak.

— Cieszy to pana?

— Tak — powiedział po chwili wahania. Nie chciał kłamać, lecz nie mógł powiedzieć księdzu, że nie słuchał go uważnie. Czuł, że się rumieni.

— Proszę się tak nie przejmować — ksiądz podniósł się z lawki. Był wyższy, niż wydawało się to Szymonowi. — Taki los przypadł wówczas w udziale niemal wszystkim tutejszym ludziom. To oczywiście nie jest powód do chwały. Ale nie należy także rozpaczać. Wielu ludzi straciło życie w torturach, więc nie trzeba się dziwić, że inni nie chcieli cierpieć.

— Rozumiem — rzekł Szymon. Dotknął wyciągniętej ku niemu dłoni księdza, wahał się czy nie pocałować starca w rękę, lubby to gest uprzejmości na jaki zasłużył, mimo iż przedtem odprawił Szymona z niczym. Skłonił się tylko, w ostatniej chwili powstrzymując się jednak przed nierozumną przesadą.

— Proszę pozostać jeszcze, jeśli jest pan zmęczony — rzekł starzec i odszedł nie oglądając się już więcej.

Szymon usiadł. Słyszał te same ciężkie, powolne kroki, deptające żwir, wszystko zdawało się jak sen, przecież jest tu sam, nikogo nie ma i nie było, jest cisza, pachną kwiaty, żar słoneczny przedziera się przez linię cienia, jest już bliżej niż przedtem. Dlaczego nie naprawiają fontanny? — złościł się. — Rozplyła wilgoć jest tu potrzebna między murami, inaczej brak tchu.

Nie pomyślał tego wprost, nie miał tyle odwagi, lecz to czego dowiedział się od księdza uznał za nonsens. Może nie użyłby tego słowa, może należałoby to do wszystkiego inaczej. Ale nie mógł się pogodzić z tym, co wynikało ze słów starca. Nie jestem Niemcem — powtarzał z uporem — to nieprawda. Tu jest mój kraj, nie znam innego języka. Ten ksiądz skłamał.

JAN GÓREC-ROSIŃSKI

Do poetów którzy mymi nauczycielami mienią się

Stoję przed tobą; strofy jak gołębie u stóp twych ufnie czekają na czułość starszego brata. Ty byłeś hodowcą młodych gołębników. Dziś twój świt zachodzi, lecz trwasa nade mną jak głaz, co urzeka, choć gesty twoje — zgrzyliwe i starcze — piosną me piaki z przyjaznych poddaszy.

Nie karm ich ziarnem gorzkim i zatrutym, krwi nie ukazuj, ani nienawisci; wróć jastrzębiem, by szarpać twe imię.

Stoję przed tobą. Jeszcze stoję, czekam. Podasz mi rękę? Obojętnie przejdzieś wpatrzony w siebie bezbarwnym obiektem?

Tyś się odwrócił! To tak jakby drzewo odeszło od moich skrzydeł i pamięci. Wzrok twój utkwił w ludzi — poza — ludzi: coż cię obchodził lot nie twojej strofy?

Martwy już jesteś, nieczuły Pomniku, obsiada cię piaki i piaki uleca nie spojrzawszy nawet na żelazny cokół.

Litościwsza skala, która memu gniazdu udzieli schronienia dla wydanego piodu.

Bydgoszcz

JÓZEF RATAJCZAK

Stopy nieakermanskie

Drzewo obywa się bez czaru czterech kółek, ruch jest jego przyrodzoną właściwością. I powolne pełzanie zgodne z ruchem słońca do kolejnych pór roku całkiem mu wystarcza.

Nie poszukuje bowiem niezgo więcej poza tym, co ma pod sobą i ponad: ziemi dla korzeni, liści dla powietrza. Nie wybiera — skoro nasienie przedtem już wybrało i doszło do głosu, tłumiając inne nasiona.

Człowiek nie zapuszcza korzeni, stąd gardzi ziemią, depcze ją z góry, przez szyby samochodu patrzy na jej skostniałe, podkórne przeciągi i mija, wszystko mija, cały jest w mijaniu, w drzwiach obrotowych, które wciąż do przodu pędzą na pozór — zataczając koło.

Uwielbia ruch przedmiotu, zabawki dziecinnej, powietrze, jeśli przeznaczone dla pędu, nie dla liści; drzewa przestały być wzorem, ich miejsce zajął wyścig ze sobą, z czasem, z ruchem,

z przestrzenią, gdzie nikt nie wola.

Poznań

S P O W I E D Ź

RYSZARD LISKOWACKI

1.

OD kilku dni Tadeusz Doner szykuje się do opuszczenia więzienia. Tydzień temu zjawił się w celi sam naczelnik Piotrowski. Przyjrzał się uważnie ścianom, popatrzył ze skupioną powagą na prycze, którą Doner wyniósł już sześć lat. Na Donera nie patrzył.

— No, tak — powiedział cicho i miał teraz wygląd miernego aktora, który zapominał tekstu i próbuje ratować sytuację własnymi, nie bardzo logicznymi słowami — i już się wszystko skończyło. No, tak... bardzo się cieszę, że mogę to panu osobiście powiedzieć. Raz burza, a raz słońce, to jest nasze życie.

Doner stał ciągle na baczności, w przepisowej postawie i mocował się z bardzo dziwnymi myślami: trzeba będzie stąd wyjść... za tymi murami jest normalne miasto. Jak żyć w takim normalnym mieście? Zatrzaszczyli się o mnie, ułożyli mi życie wygodne i beznamiętne. Przez sześć lat oni myśleli o mnie. Dali mi prycze i koc i blaszaną miskę i mocne drewniaki. Wyprowadzili mnie na spacer, nawet światło w celi gasili, abym zbyt długo nie męczył oczu, abym szedł spać, abym mógł wycisnąć. A teraz mówią, że wszystko się skończyło i każą mi stąd iść.

Ludzie będą pytać: gdzie pan był? Tam? Ile? Za co? Bili? A pan co? A syn pana poznał? A żona? — Proszę nie stać na baczności — przypomniał o sobie naczelnik — przyszedłem tu, rzecz można, prywatnie. Ja sobie ciągle myślałem: coś mi się nie składa na sprawę Donera. Ale sam pan rozumie, nie jestem od tego, żeby ludzi sądzić, jestem od tego, żeby w więzieniu wszystko grało.

— Tak jest — zgadza się Doner.

Naczelnik Piotrowski mówił coś jeszcze o tym, że świat się zmienił, musi jednak otrzymać odpo-

wiednie pismo w tej sprawie — i wyszedł z uśmiechem podkreślającym dobrze wykonany obowiązek.

Doner usiadł na pryczy i zaczął się śmiać. Sam nie wiedział z czego i z kogo. Z naczelnika? Czy z tych sześciu straconych lat? Z radości, że to już koniec, czy ze strachu, że zbliża się nowy początek? Pomyślał o tym początku i nagle cały zyciorys zakolował mu w oczach. Jakby się znalazł na karuzeli i oglądał to wszystko, co się wokół karuzeli dzieje, w przyspieszonym, zwariowanym tempie. Były więc jakieś twarze, których nie mógł rozpoznać, jakieś ludzkie sprawy urwane w połowie i niedokończone...

— Jeszcze kilka dni obywatelu plutonowy i zrobotny ładną defiladę.

— Chyba masz rację. Szosy zawalone wojskiem, balagan jak w burdelu, albo jak przed końcem świata.

— Bo jakiś świat się chyba niedługo skończy, obywatelu plutonowy. Nasza w tym głowa, żeby się skończył ten niemiecki świat.

Oddział porucznika „Brzozy” wyszedł kilka dni temu z lasów janowskich. Szli w kierunku krasnostawskiego powiatu, aby uaktywnić działające tam grupy AL.

Dwie godziny temu porucznik zawołał Donera:

— Weź trzech chłopców i rezerwyj się w terenie. Jesteśmy w okolicy Gorzkowa... to gdzieś tutaj siedzi ten cholerny „Zbik”. Uważaj żeby cię nie podrapał.

Idą leśną ścieżką zapatrzeni w czubki suchych podartych butów. Las jest wiosenny, wesoły, prowokuje do spokojnych myśli. Ale coś z tej prowokacji, skoro wiosenny spokój można poczuć na kawałki jedną serią strzałów.

Doner najpierw poczuł ból w nodze, dopiero później zobaczył tych, którzy strzelali. Wychylił się zza

drzew, mieli zielone mundury i mówili po polsku. Nie mówili, krzyśleli:

— Rzuć broń, poddać się! Nie rzućł broni, strzelał aż do momentu, kiedy ktoś skoczył mu z tyłu na kark, powalił na ziemię. Odrzucił przytomność w malutkiej, wiejskiej izbie, w której pachniało świeżo upieczonym chlebem. Poczuł tak wielki głód, że nawet ból nogi stał się na chwilę odległą sprawą.

— No i co moskiewski pacholku, wiesz z kim masz zaszczyt?

— Z bandytą... Porucznik „Zbik” chlusnął Donerowi w twarz gorącą kawą, którą się właśnie rozpoczynał delektować.

— A teraz wiesz?

Doner milczał.

— Z lasów janowskich towarzysze tu przykużykali, co? Dobry mam wywiad, co? Od dwóch dni szliśmy za wami, wachając wasze smrody.

Doner milczał.

— Chcesz żyć? — zapytał porucznik „Zbik” takim tonem jakby oferował rannemu plutonowemu porcję lodów.

Doner milczał.

— Narodowe Siły Zbrojne potrafią przebaczać. Każdy może popełnić w życiu głupstwo. Napiszesz nam na karteczce pewne imię, nazwisko i będziesz żył. Oczywiście w naszym oddziale. Decyduj się...

— Nie napiszę... — A może ty nie umiesz pisać? Nie wstydz się, podobno w AL przebywał dworska służba od wojny, analfabeci...

— Napiszemy do ciebie, bandyto, bez atramentu. Ołowiem do ciebie napiszemy. Taki ci spracujemy alfabet, że w piekle będzie głodno. Zaczęli go napie bić. Spokojuje, systematycznie i dokładnie. Miał szczęście, że stracił szybko przytomność.

2.

Obudził się i nie zobaczył światła. Było tak ciemno, że nie widział nawet przesuwanej przed oczyma dło-

Uzwojony

Co się rzucało ludziom w oczy
jak spod opon wychylony nagle skwer
lżawiaczych dymów
to jeszcze nie był On
lecz Postać
która grał
z dystansem W oddaleniu
kurczyły się gibkie
cyrkle gotyckiej perspektywy
A Postać Postać przetrastała go jak bandaż
lub opadła luźno na ramiona

Co się w nim czuło
jak pod powiekami węzeł
górkich śniegów
Już
nie było Nim lecz zmyslną statuetką
Głosu wewnętrznego
On jak namiot
szumiący nad tym Głosem i przez niego grany
A między nimi takiż dystans
wnęka pokurczonych cyrkli

Przeto
między zewnętrznym (Postać) a wewnętrznym
(Głos)

u z w o j e n i e m
On był rodzajem złego
przewodnika

Z którym:

gdy się chodzilo choćby po podłodze
cień który rzucał śnio się jak przepaść.

Poznań

KLEMENS OLESIK

Imiona planet

A kiedy już wyrąbiemy las
nie będzie nieba nad naszymi głowami
przypniemy sobie skrzydła motorowe
zastuchamy się w anteny radiowe

i będziemy się zachęcać:
lećmy lećmy

Człowiek może latać jak ptak
człowiek może się spalić jak ćma
Święty Franciszek z Assyżu
mówił do wilka; bracie
jeszcze dziewczyna wraca z dzbankiem jagód
jeszcze na wiosnę zakwitają kwiaty
są cztery pory roku
i każdy miesiąc
ma swe piękne imię
Powracamy do domu
z nad morza i jezior
I może nigdy stąd nie odlećmy
Jak byłoby pusto i smutno
po tylu wyznaniach miłosnych
po tylu pamięciach i nadziejach

Olsztyn

Bieg

Czuje go kiedy krew z furkotem gołębi
spada w serce
a potem rozwija się skrzydłami.
Jest we mnie jak mróz upalny
gdy pęka lodygami śniegu
Myśl jeśli zrodzi to poręczną sobie
kolem giętą blachą
oblitą
Przyspiesza mną toczy wzdłuż ziemi
która nawet rzeki zwinęła w okręgi
tak moje oczy w locie
Dłonie się jedynie
(jak płaki o biały żagiel)
na twarzy twojej potykają

Poznań

FRANCISZEK FENIKOWSKI

Legenda

Był, jak my, żeglarzami
— powiedział stary bosman.
— Stałki, na których płynęli,
usunęły im się spod stóp,
połknięte przez wirów gardziele,
prądami porwane na dno,
między wraków szkielety zmuszały;
oni uwięźli
w ratunkowym kole horyzontu,
zmienieni w morskie ptaki
miałają się niespokojnie
między niebem a morzem,
wiąż lotem decyzyj:

— Tu czy tam?

Krzyczą boleśnie
i nie mogą od wieków rozstrzygnąć
marnarskiego węzła
nożycami mewich skrzydeł,
morze bowiem

jest niebem marynarza.

Gdańsk

JÓZEF BURSEWICZ

Również o otworach

omatajmy się w żelazną konstrukcję
jeśli nie przemawia do was łagodność drzew

późno jesiennym poddajmy się wichrom
aby nastąpił proces rogowacenia skóry
a elektryczność w chwilach burzy
niech korzysta z pomocy eustachiusza
i wchodzi zygzakami
w foramen rotundum
w foramen ovale
w foramen crotaphiticobukcinatorium
po to by po naszych rękach
spływały paskudztwa z mózgu
a stalowe druty udzielały nam
bezdarność

Szczecin



Pomnik Jana Sobieskiego na Targu Drzewnym w Gdańsku

Fot. Włodzimierz Nieżywiński

RYSZARD DANECKI

Sonet ostatni

Niech policzka twojego dotknę raz ostatni —
jak średniowieczny malarz modelką dotyka,
gdy portret skończony — czeka bazylika
na obraz świętej, aby przed tobą na kolanach padli —

i niech zaraz przybędzie aż tyle lat mi,
żebym zapomniał, że sam wymyśliłem ten błysk kolczyka,
których w uchu prawym spod włosów się wymyka
węzeł złotym wśród czarnej migotliwej małni —
więc raz ostatni dzisiaj — prawdziwą ciebie goszczę,
zanim będziesz wzniesiona na procesyjny feretron
i wielbiona uwierzysz, że taką jesteś właśnie...

Ja — wracam w drzew nieciosanych prasłowiańskie gąszenie,
gdzie bożki liściaste imię twoje zetrą
a pień każdy czeka na moją wyobraźnię...

Poznań

ni. Próbował wstać i wtedy poczuł
wszelkie możliwe odmiany bólu.
Całą doskonałą gamę bólu. Dotykał
ostrożnie lewą ręką, bo prawa zwisała
bezsilnie, napuchniętej twarzy.
pokiereszowanych nóg, brzucha i
piersi.

Niechętnie i z lękiem przypominał
sobie ostatni moment zarejestrowa-
ny przez świadomość. Wiejska izba
pachnąca świeżo upieczonym chlebem,
gorąca kawa spływająca po
policzkach, kawa, którą chętnie by
złizal, gdyby dotarła do warg... porucznik
„Zbik” krzyczy, czegoś od
niego żąda, ostrzeża, obiecuje i już
się zaczęło bicie... Moment tego bicia
jest najbardziej niewyraźny w
pamięci.

Plutonowy Doner przypomina sobie
natomiast bardzo wyraźnie w jakim
celu znalazł się w okolicach
Gorzkowa, przypomina sobie, że
szedł z trzema młodymi chłopcami,
którzy chyba polegli w zasadzce...

Błysk mętnego światła, powolne
kroki... plutonowy Doner zadziera
głowę: a więc jestem w piwnicy —
uświadamia sobie w pośpiechu, jak-
by takie odkrycie miało dla niego
jakieś konkretne znaczenie.

Mężczyźni biorą Donera pod pa-
chy i ciągną go prymitywnych scho-
dach do góry. Jeszcze tylko parę
kroków i już wie plutonowy, że nie
się nie zmieniło, że świat stanął w
miejscu, a w samym środku tego
zatrzymanego świata siedzi porucznik
„Zbik”.

— No i jak się czujesz? — mówi
porucznik.

Doner milczy.
— Przecież języka ci nie ucieli-
my. Specjalnie uważaliśmy, żeby nie
uszkodzić języka.

Doner leży na podłodze i patrzy
na buty „Zbika”. Dobre, maszynowe,
sumiennie wygłansowane buty.

— Chcesz pić? — pyta porucznik.

— Chcę — mówi Doner.

Przystojny kapral, jakby tylko
czekał na spełnienie tej prośby, Kel-
nerskim ruchem podsuwa blaszany
kubek pod same usta Donera.

Porucznik „Zbik” przygląda się w
milczeniu, ale z nieukrywanym za-
ciekawieniem tej wzruszającej sce-
nie, w której młodzieńcki kapral Nar-
odowych Sił Zbrojnych w humani-
tarny sposób zwilża napuchnięte
wargi należące do plutonowego
Armii Ludowej. W zyciorystie tego
żołnierskiego kubka zaistniał mo-

ment, który natychmiast został pod-
chwyciony przez porucznika „Zbi-
ka”:

— Prawdziwe braterstwo broni...
nie spotykane w historii mojego od-
działu. Potrafisz to chyba ocenić?
Więc Doner przeklnął ostatni tyk
wody i zdecydował się zadać py-
tanie:

— Czego ode mnie chcecie?

— W porządku — uśmiechnął się
„Zbik” i w tym uśmiechu twarz mu
do tego stopnia złagodniała, że aż
na moment przestał do niego pa-
sować ten drapieżny pseudonim —
jak już zaczęłś gadać, to dojdzie-
my jakoś do porozumienia. Będę
mówił krótko... wiem w jakiej sprawie
przyteleklisście się na ten teren.
Ja też nie jestem tu przypadkowo...
muszę mieć jednego z waszych. Tylko
ten cholerny bolszewik zbyt do-
brze się zamelinował i moi chłopcy
nie mogą go rozszyfrować. Chodzi
mi o „Sowę”, o towarzysza „Sowę”...
wy macie z nim kontakt. Zaprowa-
dzisz nas do niego, pokażesz, który
to dom i będziesz żył. Słowo pol-
skiego oficera, że będziesz żył... na-
wet w moim oddziale możesz zo-
stać i ten stopień podoficerski so-
bie zatrzymasz.

— Nie znam towarzysza „Sowy”
— uola szybko Doner, aby nie do-
puścić do siebie żadnej innej my-
śli.

— Znasz... cudów nie ma... jak
się już znaleźliście na tym terenie,
to musieliście dostać kontakt z „So-
wą”. Mogę ci nawet powiedzieć w
której z trzech wiosek on mieszka...
Górka, Mokradło, Filipie... albo tu,
albo tu, albo tu...

— Nie znam towarzysza „Sowy”
— przerywa porucznikowi Doner —
nigdy go nie widziałem na oczu.

— A ja myślałem, że ty jesteś
mądry chłop, że nie dasz się za-
katrupić za jakiegoś tam czerwono-
wego złada.

— Przeceniłeś mnie „Zbik” i ja
nie nie powiem.

— Dobrze to sobie wszystko
przemyslałeś?

— Bardzo dobrze...

— Więc zaczniemy zabawę od
początku — uśmiecha się „Zbik” i
wydaje cicho jakieś polecenie znaj-
dującym się w izbie żołnierzom.
Doner czuje, że unosi się w po-
wietrzu. Początkowo jest to nawet
miłe uczucie, ale po chwili sprawa
nabiera jednoznacznej wymowy.
Nie przypawili mu skrzydeł, więc
nie będzie fruwał, będzie wisiał na

wbiłym w sufit haku z głową do
dołu, z głową prawie dotykającą
zablokowanej podłogi. Ktoś stawia na
podłodze wielką balię. Nalewają do
niej wiadrami wodę...

— Podciągnijcie go trochę — mó-
wi porucznik „Zbik” i sam pomaga
w przesunięciu balii właśnie w to
miejscu, gdzie przed chwilą znajdo-
wała się głowa plutonowego Done-
ra.

— Już? — pyta kapral i w jego
głosie jest jakaś ciekawość i dzie-
cięca niecierpliwosć.

Nikt teraz w izbie nie krzyczy,
rozmawiają spokojnie, bez uniesie-
nia, z pełnym zrozumieniem wzno-
słej sytuacji, w której ordynarny
krzyk byłby profanacją drobiazgo-
wo pomyślanego misterium.

Tylko Doner nie potrafił ocenić li-
rycznego nastroju. I w grubiański
sposób pakuje się swym ochryplym
od bólu i strachu głosem w sam
środek kulturalnego szepetu wydo-
bywającego się z ust porucznika
„Zbika”.

— Ale ten krzyk zamiera dosyć szyb-
ko, bo kapral zwołał linkę i głowa
plutonowego Donera znikła w balii
wypełnionej wodą...

Rozległ się natychmiast bardzo
śmieszny bulgot, a znany z poczu-
cia dowcipu kapral skomentował to
krótko i dosadnie:

— Statek odbił od brzegu. Zaraz
mu nogawkami wyjdzie dym... jak
z komina.

3.

Leży Tadeusz Doner na przy-
myśli: czeka na mnie żona, czeka
syn, który sześć lat temu nauczył
się właśnie czytać. Wtedy czytał
„Lokomotywy”. Tuwima i proces, o
którym tak chętnie pisał gazety,
był dla niego zupełnie nie znanym
ładem. Dzisiaj zna już na pewno
wszystkie kręte ścieżki wydeptane
przez mnie na tym ładzie.

To bardzo źle, jeśli syn rośnie, a
ojciec boi się jego dojrzewania. W
tym dojrzewaniu zawarta jest bo-
wiem ciekawość prawdy, dobrej i
złej. W jaki sposób przekazać mu tę
moją prawdę? Zła, obrzydliwa i
smutna? Nawet przed sądem nie
umiałem się z niej wyzwolić. Słowa,
którymi ją określałem były tak li-
che, jak używana odzież kupowana
w bramie, za pół darmo.

Jeśli zadam tylko sobie pytanie:
czy byłbyś przestępcą, Tadeusz Do-
ner? Mogę odpowiedzieć z czystym
sumieniem: tak, byłem przestępcą.

wtedy, zamiast spokoju, radości i
satisfakcji, ogarnął mnie zwierzęcy
strach. Więc jak „Zbik” zawołał bez
przekonania, że otrzyma odpowiedź:
gadaj, gadaj kraso byku, gdzie jest
„Sowa”, w Filipie, w Mokradle, czy
Górze? Odpowiedziałem: w Mo-
kradle. On mieszka w Mokradle.

— Daj mu wody — zwrócił się
„Zbik” do swego kaprała.

— Zrobiłeś wszystko co tylko mo-
głeś... — pochwalił mnie „Zbik” i
nie czułem upokorzenia. Wydawało
mi się, że zrobiłem rzeczywiście
wszystko, co było w mojej mocy,
aby mieć czyste sumienie. Nie
wziąłem tylko jednego pod uwagę,
że o moim czystym sumieniu nie
ja będę decydował.

— Więc towarzyszu „Sowa” uwil
sobie gniazdko w Mokradle — po-
wrócił do moich zwierzeń „Zbik”,
— a dokładniej nie mógłbyś powie-
dzieć?

Chciało mi się spać. Przytuliłem
się policzkiem do ciepłego kożucha,
którym mnie nakryli i szepnąłem,
aby mi już wreszcie dali spokój;
czwarty dom po lewej stronie, jak
się idzie od Gorzkowa.

4.

Więc przekroczyli próg domu. Ta-
deusz Doner zdjął płaszcz i zdjął bu-
ty, bo podłoga błyszczała jak lu-
stro, a na butach był na pewno
piach z więziennego podwórka.

— Usiądź — powiedziała żona —
na tym miękkim krześle będzie ci
najwygodniej.

Usiadł. Położył ręce na kolanach,
później wsadził je do kieszeni, póź-
niej oparł na poręcz krzesła. Przes-
zkadzały mu to ręce, przeszkadza-
ła mu wypolerowana podłoga,
przeszkadzały mu meble...

Syn obserwował go uważnie, jak-
by chciał się wedrzeć pod ojcowską
skórę i zobaczyć co tam jeszcze zo-
stało, w środku tego człowieka ska-
żanego na wolność. Żona znów za-
częła płakać. I był to najdziwniejszy
placz, jaki Doner widział w swoim
życiu. Bo twarz kobiety była pogod-

(Dokończenie na str. 11)

Jedziemy na zachód

MIECZYŚLAW SZYSZKO

W POŁOWIE 1945 r. słowo „zachód” było dla wszystkich Polaków w kraju terminem jednoznacznym. Napawało optymizmem, który rodził się po zakończeniu wojny, mimo straszliwych ofiar w ludziach i potwornych zniszczeniach materialnych. Zachód w pojęciu każdego z nas to był Wrocław, Szczecin, Opole, Zielona Góra czy setki innych miejscowości, które dopiero otrzymywały polskie nazwy. Najpierw wołano: jedziemy na zachód! Ale wkrótce pojawiło się już nowe hasło: zachód woła! Ta subtelna różnica oznaczała, że myślimy już nie o własnych, indywidualnych sprawach, ale o najbardziej żywotnym interesie narodu, o przyszłości rodzącego się dopiero państwa. To już była racja stanu, która mobilizowała do odbudowy i zagospodarowania ziem nad Odrą, Nysą i Bałtykiem.

Pietkiewicz przedstawił tzw. plan regionalny Lubelszczyzny. Województwo podzielono na dwa rejony klimatyczno-glebowe, którym miały odpowiadać rejony osadnicze. I tak mieszkańcy powiatów: biłgorajskiego, krasnostawskiego, kraśnickiego i zamojskiego mieli udawać się na Dolny Śląsk, a ludność z powiatów: lubartowskiego, lubelskiego, łukowskiego, radzyńskiego i puławskiego na tereny Warmii i Mazur.

Te kierunki migracji utrzymały się do wiosny 1946 r. Gdy w związku z repatriacją ok. 800 tys. Polaków z ZSRR zmniejszyła się chłonność zwłaszcza Dolnego Śląska, przesiedleńcom z Lubelszczyzny wyznaczono województwo gdańskie oraz dawne województwo mazurskie.

Początkowo zarówno PUR jak i komitety przesiedleńcze organizowały osadnictwo indywidualne. Od marca 1946 r. rozpoczęto osadnic-

ŚCIĘTE DRZEWO

ZDZISŁAW MORAWSKI

1. Koroną ściętego drzewa są słoje w drewnie; są fornierowe plaże w biurkach, są bursztynowe kwiaty w sękach, są hałdy trocin.

2. Kapłanami wyrębu są drwale. Ich modlitwa to huk toporów, ich ofiara to wiatr.

3. Poręba jest tronem topora, jest miejscem pod zasiew kandydatów do ścięcia; z pierwszej kołby lasu drwal weźmie dla siebie toporzysko.

4. Drwale obcinając gałęzie obcinają szum drzewa nuta po nutce — sterzący kikut milczy, jakby wylł do nieba.

5. Sugi drewna to pieśni pił i siekier, to pieśni poręby ustawione w zwrotkach szczap.

6. Do poręby księżyc nigdy nie zapłąda — on ją zawsze widzi, jak otwartą mogiłę.

7. Niebo nad porębą z braku gałęzek marnieje — nie ma na czym osadzać ni światła ni mroczyna.

8. Ścięte drzewo jest pełne drewnianego życia, przeżyje drwala.

9. Szum drzewa jest zaschnięty w deskach, skrzyptac ostaną życie marynarzy.

10. Woda wynosząc suche drewno, ogień trawiąc krokwie, napelniej chwala trud drwala.

11. Tylko wyschłe drewno ostęga lot ptaka, tylko ono jest strzałą.

12. Słoje drewna są zastępyłymi kęgamii czasu, odpoczynek jest strużyną dnia drwala.

13. Snycerz na drewnianych słojach rzeza szum wiatru zaplątany w koronach drzew.

14. Poeta ze strużyn wieje gniazdo dla wiersza.

15. Kapelmistrz trzaska drem-

nem paleczki w drewno pulpitu, a odpowiada mu flet — drewniany róg lasu.

16. Malowane przez mistrza skrzydła bez futolosa, to ptaki poręby. Malowane dzioby posobijane w pieńki, to jej słowiki.

17. Ze wszystkich nóg, jakie chodzą po scencie najboleśniejsze są szczudła.

18. Sceniczny blat wysokiego stołu jest drewniano głuchy na próby głodnego człowieka.

19. Parkiet jest brukiem podłogi — chodząc po parkiecie nie wiem, że chodzimy po drzewach.

20. Drewniana głowa, to głowa króla na szachowym tronie, to drewniane pola dla drewnianych wojsk.

21. Ptaki ze ściętego drzewa przenoszą swój cień na czekające w zamyśleniu drzewo, ścięte drzewo traci swój cień dopiero w ogniu.

22. Słowa puchocze otulają i pieszczą, słowa drewniane klekocą w kołatkach, są stylem oskarżów.

23. Z drewna, najspanialszego budulca, stworzę korab dla moich myśli. Niech płyną, płyną, toczącej myśli. Niech płyną, płyną, toczącej myśli.

Zielona Góra

MIEJSKI KOMITET PRZESIEDLEŃCZY

podaje do wiadomości

ze dnia 21-go lipca b.r. odszedł transport z Lublina w ilości 900 osób

Odjazd następnego transportu przesiedleńczego

do miasta

STAROGRÓD

na

POMORZE ZACHODNIE

odbedzie się

dnia 27-go lipca 1945 roku.

Punkt zborny-ulica Gazowa Nr. 3

(ulica Państwowego Urzędu Repatriacyjnego)

o godzinie 10 rano

Przewodniczący Międzyregionalnego Komitetu Przesiedleńczego
(-) Władysław RYMSKI

Jeszcze w październiku 1944 r. na mocy dekretu PKWN powstał Państwowy Urząd Repatriacyjny, popularny PUR. Początkowo zajmował się on repatriacją Polaków z terenów Związku Radzieckiego, ale 7 maja 1945 r. przejął także akcję przesiedleńczą. Akcja ta obejmowała ludność udającą się z ziem dawnych na Ziemię Zachodnią, nazywanymi także Ziemią Odrzańską. Chodziło o to, aby potężnemu procesowi migracji, obejmującemu w skali krajowej miliony ludzi, nadać właściwy kierunek, pozabawić żywiołowości i improwizacji, a ująć w możliwie najlepsze formy organizacyjne. Kolejno powstawały także inne placówki — naukowo-badawcze lub koordynujące poczynania różnych resortów. I tak w lipcu 1945 r. powstała Rada Naukowa dla zagadnień Ziemi Odrzańskich oraz Biuro Studiów Osadniczo-Parcelacyjnych. Powstawały także organizacje społeczne. W maju 1945 r. utworzono Centralny Komitet Przesiedleńczy, a następnie komitety wojewódzkie, miejskie, powiatowe, a nawet wiele gminnych. Pojawily się pierwsze opracowania, określające chłonność Ziemi Odrzańskich na dzisiaj i w przyszłości, ustalano kolejne kierunki migracji, zapotrzebowanie na fachowców itd. Tworzono punkty etapowe, organizowano żywność dla przesiedleńców, umożliwiano im bezpłatny przejazd, wskazywano konkretne gospodarstwa czy warsztaty pracy.

W tej olbrzymiej fali osadników, nieprzerwanie płynącej na zachód nie zabrakło mieszkańców Lubelszczyzny, zarówno rdzennych, jak i tych, których rzuciły tu losy wojny. Opracowany przez Centralny Komitet Przesiedleńczy plan przewidywał osiedlenie na ziemiach zachodnich i północnych 170 tys. ludzi z woj. lubelskiego.

W czasie pierwszej sesji Rady Naukowej dla zagadnień Ziemi Odrzańskich, która odbyła się w Krakowie na przełomie lipca i sierpnia 1945 r., Michał Orlicz i Stanisław

two rolne w ramach spółdzielni parcelacyjno-osadniczych. Taką formą osadnictwa zajęły się społeczne Rady Osadnictwa Spółdzielczo-Parcelacyjnego. Rada główna powstała w Lublinie w maju, a w następnych tygodniach powiatowe.

Jedziemy na Zachód. Szczecin zaludnia się, Szczytno czeka na osadników — oto przykładowe tytuły z artykułów i obszernych informacji, które nie tylko zachęcały do wyjazdu, ale i dokładnie informowały o warunkach na miejscu, możliwościach zamieszkania, pracy.

Wyznaczony plan osadnictwa został przekroczony. Do końca 1946 r. wyjechało z woj. lubelskiego nie 170 tys., ale ponad 200 tys. osób. Była to głównie ludność wiejska. Jej wyjazd w dużym stopniu rozładował nabrzmiały od dziesięcioleci problem nadmiaru rąk do pracy w rolnictwie lubelskim, powstrzymał w pewnym stopniu dalsze rozdrabnianie gospodarstw rolnych, łagodził trudności mieszkaniowe, zwłaszcza jeżeli chodzi o ludność miejską. Jednocześnie osiedlanie się na ziemiach zachodnich stanowiło duży awans. Gospodarstwa były większe, po odbudowie zniszczeń zarówno mieszkania jak i inne warunki bytowe były lepsze. Najczęściej wyjeżdżali ludzie młodzi, którzy w ten sposób startowali do nowego życia w znacznie lepszych warunkach niż ich ojcowie, mimo że w pierwszych latach musieli ciężko pracować przy odbudowie i zagospodarowaniu gospodarstw czy fabryk.

Nie obeszło się, niestety, bez tego, że niektóre jednostki zajęły się tym, co nazywalimy szabrem, były nawet wypadki przenoszenia się członków band reakcyjnych, którym paliła się ziemia pod nogami. Były to jednak wąskie marginesy, które nie mogły odwrócić biegu historii. W świadomości dawnych mieszkańców Lubelszczyzny, Rzeszowszczyzny, Kieleckiego czy Białostockiego coraz bardziej utrwalało się przekonanie, że Wrocław, Szczecin, Opole czy Olsztyn to dawne miasta polskie, że ziemia, którą orzą, fabryki, które uruchamiają, to również Polska.

BOLESŁAW FAC

Pogoda zmienną jest

pogoda
rozkoszuj się pięknym dniem
nim zbierze się gęsta powłoka burz
pogoda zmieni się
ciesz się niebem czystego dnia
choć zielone zapachy łąk
mają już w sobie fabrycznych ogni stąd
pogoda jest zmienna
boksler zawodowy mistrz świata
woli krwawić na ringu niż na bombowcu latać
pogodę ciągle zmienia wiatr
nikt nie jest pewny swego
ponad górami w chmurze śmiertelny miał
nową pogodę przynosi każda para roku
co nalożyć na siebie
jaki przywdziać całun
gdy znaki na niebie

Gdańsk

JANUSZ KRZYMIŃSKI

Syreny i pilot portowy

Z wszelkich kierunków
w admianach nieba
syrenie niezalubione głosy —
ale gdy w piany galopie się zjawia
one
w istocie porywawce
idą w otwarcie ziemi
uległe jego myślom
choć węży nowego losu
ledwie w zadziernięciu
a kształt co powiewa światłami
jeszcze między morzem i chmurą.
A gdy z dotyku lądu
osierocone
jedne dla drugich porzuca
dziedziczny smutek i miłość
na wszystkich redach świata.

Szczecin

IRENA DOWGIELEWICZ

Prośba na dzień matki

Pozwólcie matkom klamać,
nie chcą prawdy ani dla siebie ani dla was.

Wiedzą, że ich miłość odstaje jak suchy plaster,
choć próbują służyć i zbierać przynosząc w rękach
żyłastych

wesoly kreton, ciasto, butki dla wnuka,
ale i butki zsunięte z dłoni schną i martwieją,
a one same, żywe i ciepłe, zachodzą cieniem.

Czasem jak wygwizdany mówca,
który szuka
zapomnianego słowa,
próbują mówić,
ale mówią plecocom spieszących do szatni.

Czasem, jeżeli Bóg łaskaw, tracą wzrok i głuchną,
wtedy same do siebie mówią „mamo”
i piorą haftowane serwetki, żeby przyozdobić koszyk
do chleba.

Ojcom jest łatwiej,
ojców zauważać nie potrzeba.

Gorzów

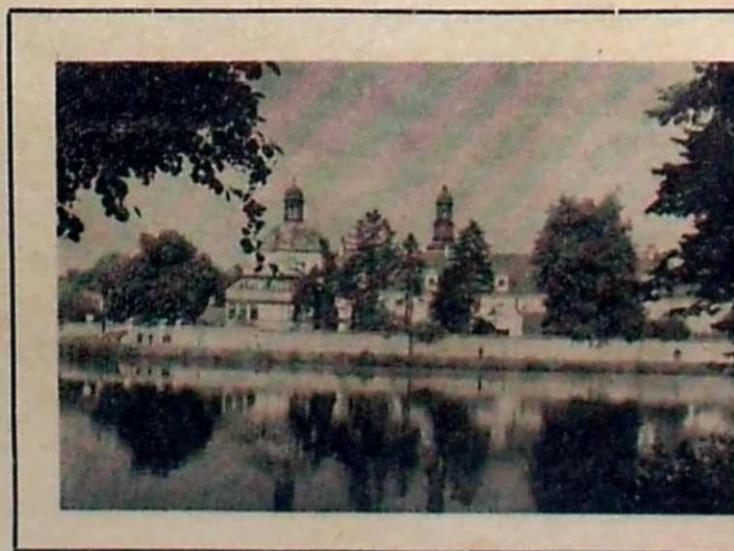
IRENEUSZ KRZYSZTOF SZMIDT

gdy już nie ma w człowieku nic
w mieszkaniach pozostają martwe ślady
maskotki listy pukle włosów
ale nie ze środka człowieka

a jeszcze gdy po dziecku
w kobietach nie zostaje ból
a jeśli jeszcze żyje serce
na znak że człowiek jeszcze żyje
że nogi noszą swe kadłuby...
...kadłuby głowy wieńczą złotem
złotem się płaci za kęs bólu
którego nikt nie ma na sprzedaż

to wtedy ludzie maszerują
ze wzrokiem w ziemi matce starej
dzisiaj łaskawej tylko starcom

Szczecin



Trzebница otrzymała już w 1250 roku prawa miejskie. Na przełomie XIII i XIV wieku miasto otoczone zostało murami obronnymi. Miasto posiada wiele zabytków architektury, wśród nich kościół i klasztor pocysterski, ufundowany przez Henryka Brodatego.

(CAF, fot. Wołoszczuk)

ZAWSZE, od kiedy pamięta, lubił czas wczesnej wiosny. Dni przedłużały się, mrok coraz później zagarniał ziemię, tryskała zielen, jaśniało i wesołało. Nawet ponure myśli traciły na znaczeniu, usuwane przez promyki nadziei.

Tego piątku czuł się o wiele rześniej niż kiedy. Może dzień był bardziej spokojny i ciepły, może radośniejsze nastroje go słowa dyrektora, który zahaczył go na budowie, iż możliwe, że przeniesie wkrótce Krzywdziaka do innej pracy.

W ogóle odniósł Teodor wrażenie, jakby dyrektor czemuś był szczególnie zainteresowany jego osobą. Nigdy jeszcze coś podobnego się nie zdarzyło. Przystanął, bąkał o pogodzie, o budowie, zagadnął wreszcie zniechęca:

— Pan był kiedyś tutaj starostą, panie Krzywdziak?
— Ano, byłem, przez niejedno się przechodziło...

— A te blizny, podobno od pożaru, kiedy to z ognia wyciągnął pan małe dziecko?
— I o tym słyszał już pan dyrektor?

— Ano słyszało się, słyszało niejedno... Tak, tak, pomyślmy o innej pracy dla pana... Odszedł, jeszcze się oglądał za siebie. Nie próbował Krzywdziak dochodzić przyczyn nagłego zainteresowania, i tak by przecie nie odgadł. Co ma być, to i tak będzie.

A jednak rozmowa ta nastroiła go jakąś otuchą. Żeby tak jeszcze ze Stefą się wyjaśnić. Dotąd od dziewczyny nie było żadnego slychu. Mogłaby wracać. W „Samie” manko zostało spłacone, całą rzecz umorzono, przynajmniej ten miecz już nie zwisał nad karkiem. Głupia, strasznie głupia dziewczucha.

Ledwie zjadł obiad, nadąsana jak zawsze żona wskazała palcem papiery leżące na podniszczonym etażerze:
— Są listy do ciebie.

Sięgnął ciekawie i z nagłym ukłuciem nadziei w sercu. Rzadko kto do nich pisywał. Tomek ze Szczecina najczęściej. Więc te inne listy to może od Stefy? Przez chwilę obracał w palcach podłużną, grubą kopertę z nadrukiem: Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Ci znowu czego chcą? Mogą od niego? Przecież nie w związku z nadchodzącą rocznicą wyzwolenia miasta, od paru lat nie pamiętano o nim, nikt nie nadsyłał zaproszeń. Sięgnął po nóż, by przeciąć kopertę, gdy u drzwi zabrzmiał dzwonek.

— Zobacz, Teodor, mam ręce mokre przy statkach.
— Telegram, panie Krzywdziak — doręczył bez ręki, starszy już wiekiem, musiał go skądś pamiętać. — Ano bywa, niewesołe nowiny.

Słowa te wwiercały się w jego uszy natrętnym jakimś refrenem, gdy drżącymi dłońmi rozrywał zaklejkę blankietu telegraficznego rozy.

— Co tam nowego? — jak przez mgłę doszedł do niego głos Heli.

Stał jak wryty z rozpostartym blankietem w dłoni. Czytał ponownie przyswajając wolno, bardzo wolno docierając do niego treść lakonicznych słów: „Wypadek. Syn w stanie ciężkim. Konieczny natychmiastowy przyjazd. Dyrekcja”.

Podał jej szleszczący arkusik papieru, bezwolny i bezzilny w tej chwili, niezdolny do wymówienia jednego słowa.

Natrętnie, pełna niepokoju, szturchała go w bok, Prawda, zapomniał, Heli ciężko idzie z czytaniem.

— Matko miłościwa — zalamala kobieta ręce.
Tęż czoło. Coś się tam kotłowało i prze-walało, osaczając zapadającą pustkę, w której ginęły ostatnie jego nadzieje.

— Teodor, coś trzeba zrobić.
Przytomnieli z najwyższym trudem.

— Tak, robie, coś trzeba zrobić... Każą przyjeżdżać. Musimy jechać. Jeszcze przed północą jest pociąg na Szczecin, pamiętam, oglądałem niedawno rozkład... Trzeba jechać. Powiódł się do wnętrza domu i jakby nie dotarły do niego wypowiedziane dopiero co słowa, ciężko osunął się na krzesło. Niechętym ruchem dłoni odgarnął ozdobne pismo z prezydium, nie ciekaw już jego treści. Myślał o synu.

Tomek. Sześć lat kończył, gdy przyjeżdżał do tego miasta. Wesołutki, zwany chłopczek. Dziś ma dwadzieścia trzy lata. Dojrzały człowiek. Różnie z nim bywało w poprzednich latach, ale wziął się w garść, pracuje, został spawaczem, uczył się wieczorami, chciał czegoś dopiąć. Może przykładał ojca tak podzielał na niego, zły przykładał.

Spostrzegł się z naglą, że myśli o synie w czasie przeszłym. Wstrząsnął się. Nieprawda! Nieprawda! W telegramie wyraźnie piszą, stan bardzo ciężki. Zatem jest nadzieja. Mo-

wybijała na wierzch blade odbitymi członkami, Krzywdziakiem, zaś wstrząsał dreszcz.

To dziwne rozdwojenie, z jednej strony trzeźwość działania, z drugiej zupełne zagubienie w narastającym bólu, nie opuszczało go przez wszystkie wieczorne godziny. Sztymnym krokiem powiódł się jak automat do najbliższego telefonu, aby się upewnić u Jezierskiego do dworca, jak wyglądają odjazdy pociągów do Szczecina. Może jest jakiś wcześniejszy? Tak, o dwudziestej pierwszej z minutami, z tym, że będziecie mieli przesiadkę. Różnica w przyjeździe około dwóch godzin. Dwie godziny to dużo, pojedą zatem wcześniejszym. Tomek tam czeka, chce ich zobaczyć, może mu są bardzo potrzebni.

Hela pozbawiona krzątaniny, absorbującej uwagę, dopiero w pociągu zaczęła sobie pełniej uświadamiać, co właściwie się stało. Wtulona w kącie przedziału pochlipywała cieniutko. Nie zwracała na nią uwagi. Aż nie do wiary jak zobojętniała mu teraz i żona, i Stefka, i jego własne, przykre przeżycia ostatniego okresu, jak wypadek Tomka zaczął przesłaniać wszystko.

Nie widział chłopca od blisko roku. Nie przyjechał nawet na urlop, napisał, że chce poświęcić ten czas na naukę. Stocznia daje im wyjątkowe warunki studiów, pragnie

diach. Jeżeli w najbliższych okresach coś pozwalało Krzywdziakowi znaleźć w sobie dość hartu i siły odporu, łączyło się to z pamięcią chłopca, ze świadomością wiążących ich poprzez przestrzeń spokojnych męskich uczuć. Bez rozkliczeń, bez sentymentów i sztucznej emfazy.

Seria ciosów zdawała się nie mieć końca. Po wszystkim, co przeszedł, zwała się teraz złowrobną depeza. Stan bardzo ciężki. Konieczny natychmiastowy przyjazd. Nie wróżyło to niczego dobrego, można się było spodziewać dalszych najgorszych wieści. Krzywdziak zbyt długo obijał się o sprawy przemysłu, by nie wiedzieć, że taki potrzebny zakład jak stocznia bez zasadniczego powodu nie będzie budził niepokojów podobnymi telegramami. Wypadek...

Jeżeli stocznia to pisze, nie szpital, dowód, że katastrofa jakaś miała miejsce przy pracy, na terenie zakładu. Przy tym tempie, w tak olbrzymim, intensywnie dyszącym pracą zakładzie zawsze istnieje możliwość wypadków.

Praca spawacza prawdopodobieństwo to mnoży... Co stało się z Tomkiem? Czy zastaną go jeszcze przy życiu? Może dogorywa, czekając na nich, resztką świadomości szukając wokół siebie ojca i matki. A ten pociąg wlecie się tak straszliwie, jak od niechcenia postukują koła na spojeniach szyn, wolniutko przemijają obok zamazane w czerni nocy kontury drzew i słupów telegraficznych.

Do tej chwili bał się dopuszczać do siebie myśli o tym najgorszym, co może ich czekać. Teraz, gdy raz popuścił cugli, myśli ta zasiedliła się w jego umyśle, nie umiał się od niej uwolnić. Prześladowała go, rozrastając się w ponure wizje, straszyla i przerażała.

Nie potrafił usiedzieć dłużej na miejscu. Zerwał się, ostro, jakby szukając za nimi ratunku, szarpnął drzwi przedziału. Hela zerwana z półdrzemki powiodła za nim oczyma, przez sen zamamrotał któryś z pasażerów.

Na korytarzu było przestronnie i nie tak duszno, jak w rozprężonym przedziale. Krzywdziak głęboko, mocno zaczerpnął powietrza. Prostując zeszywniałe nogi, przeszedł wzdłuż korytarza, rzucało go ze ściany na ścianę. Stał teraz w poszerzonej przestrzeni przy drzwiach wejściowych. Oparł rozpalone czoło o szybę. Szedł od niej przyjemny chłód. Pociąg zdawał się przyspieszać biegu, szybciwie przesuwały się drzewa, mignęły światełka jakiejś stacyjki, koła wybijały na spojeniach dziwaczny rytm. Zastuchnął się. Bez wątpienia śpiewały najwyraźniej:

— To-mek, To-mek, To-mek.
Odetchnął głęboko, bardzo głęboko, jak nurek wynurzający się z głębiny i żarłocznie chwytający zbawcze powietrze. To postukiwanie jest ponure, jak werble, gdy wybijają swój rytm.

Oczy Krzywdziaka zapełniły się łzami. Spierzchnięte wargi zeszywniały:

— Tomek, synku, co z tobą, gdzie jesteś? Tomek, Tomek...
— To-mek, To-mek, To-mek — wtórowały koła wagonu.

Poczuł się słabo. Mocniej oparł się o drzwi. W przestrzni, w pęd pociągu pobiegł nagle niegłęboki, pełen bardziej zadziwienia niż przerażenia krzyk człowieka, wypadającego z rozwartych nagle drzwi wagonu.

Fragment powieści pt. „Przejaśnia się niebo”, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.

KRZYŻYK

EUGENIUSZ PAUKSZA

że wąta, mizerna, ale jest. Nie może tak się stać, to byłby już nadmiar nieszczęść. Stefa, historia na budowie, wszystko, co złe. Pocięła zawsze pamięć o Tomku. Zawziął się, pracował i uczył się. Sam własną pracą chciał coś osiągnąć. Krępy jak i ojciec, o muskularnych ramionach i wysuniętej do przodu szczękę. Ktoś mówił, że to oznacza mocny charakter.

— Teodor, to jak?
— Trzeba jechać. Szykuj się, Hela, do drogi. Może parę dni przyjdzie się zostać przy chłopcu. Zabierz ubranie, jakieś jedzenie... Klucze zostawimy Sykałom.

Mówił trzeźwo, na kobietę podzielał to aktywnie, była znów kierowana, wiedziała, co ma robić. On sam, wbrew rozsądkowi swych słów stał na uboczu z miejsca wszczętych przez nią przygotowań. Wewnątrz czuł narastający chaos, w którym miedzał się jakiś straszliwy bunt przeciw uderzeniom losu, odczucie ogromnej krzywdy, i żal, i smutek, i gorycz. Ten ostatni cios był zbyt silny, by momentami nie przestawał po prostu wierzyć w jego prawdziwość. Wtedy wzrok machinalnie kierował się ku rozłożonemu na stole blankietowi, rzeczywistość

wykorzystał to w pełni. Nie zamierza pozostać tylko spawaczem, marzy mu się coś znacznie poważniejszego. Rozsądny był list, poza zwłocznością zdań i chropowatością sformułowań wyczuwało się silną wolę. Uparty był zawsze, jeszcze jako dzieciak, gdy sobie coś postanowił, musiał to zrealizować wbrew wszelkim przeszkodom. Podobnie teraz. Pisywał regularnie, choć rzadko. W listach jego brakło czułości, przypominały suche, urzędowe raporty. Krzywdziak doskonale pojmował odczucia syna i w tych pozornie obojętnych relacjach odnajdywał zarówno jego jak siebie, w całej skali łączącego ich ze sobą uczucia.

Kochali się bardzo. Od szczeniących lat chłopca. Nie nazywane, legło u podstaw ich wzajemnego stosunku głębokie zaufanie, wykluczające tajemnice, jakieś tylko własne, intymne sprawy. Tomek zwierzał się ojcu otwarcie i z niepowodzeń w nauce i z pierwszych przeżyć okresu dojrzewania, wspólnie przeżywali odrącone uczucie chłopca, i trud aklimatyzacji w nowym, specyficznym środowisku stoczni oraz samego Szczecina, i odnoszone w pracy sukcesy, dyplom spawacza najwyższej klasy i postanowienie kontynuowania nauki na wieczorowych stu-

Ossolineum i Zamość

TADEUSZ GRABA

GENERAŁ Hammerstein oświadczył w dni parę po bombardowaniu Lwowa, iż bardzo żałuje tego, że zapomniał o Bibliotece Ossolińskich podczas bombardowania, bo byłby ją spalił — zanotował w 1848 r. Wincenty Pol słowa austriackiego oficera. W szczególny sposób potwierdzają one znaczenie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich w historii naszej kultury.

W związku z przypadającym właśnie jubileuszem 150-lecia Zakładu ukazało się wiele obszernych artykułów zawierających dokładną jego historię, a w druku znajduje właśnie szkic monograficzny pióra Jana Trzynańskiego, do niedawna dyrektora i redaktora naczelnego Wydawnictwa „Ossolineum”. Także wystawa, przygotowana na listopadowe uroczystości jubileuszowe we Wrocławiu, dorzuci zapewne wiele ciekawych faktów do tych, które znamy z dotychczasowych publikacji. Wobec tytułu dostępnego źródła informacji o Zakładzie, chciałbym ograniczyć się jedynie do przypomnienia marginalnego, lecz dla mieszkańców Lubelszczyzny na pewno interesującego faktu — poza kręgiem historyków i bibliotekarzy jest on mniej znany — związanego z pierwszym zamysłem lokalizacji biblioteki. Chodzi o umowę lańcucką Ossolińskie-go ze Stanisławem Zamojskim, która przewidywała bibliotekę w Zamościu.

Myśl ta powstała w chwili, kiedy zbiory hrabiowskie stały się tak zasobne, że mogły już pełnić rolę publicznego księgozbioru. Warto w tym miejscu przypomnieć, że nie miały udział w pomnaniu wiedeńskiej biblioteki Ossolińskich miał Samuel Bogumił Linde, późniejszy

autor fundamentalnego „Słownika języka polskiego”, który w 1794 r. zetknął się z Józefem Maksymilianem.

„Po zupełnym usiłowaniu narodowych upadku udałem się za radą śp. Ignacego Potockiego Marszałka do Wiednia, gdzie mi szczęście zdarzyło spokojne schronienie przy bogu i w domu gorliwego o nauki, zulaszcza ojczyste, Józefa hrabi Ossolińskiego. Biblioteka jego podówczas nie była liczna, lecz wyborowa. Wkrótce skończyłem i uporałem się spokojnie z napisaniem dzieła, z niewielu pism polskich tam się znajdujących. Oświadczył mi zatem zapalający się coraz więcej gorliwością o pomnożenie literatury hrabi, że zamysła nie tylko resztę księzek w dobrach pozostałych w jedno zebrać, ale też i na dalsze zbiory nie żałować” — wspomina Linde w autobiografii. Współpraca trwała właśnie do 1804 r. Linde jeździł po kraju, wykupywał cenne książki od zakonników, nie żałował pieniędzy, ale i pogroźek.

„Przedsięwzięciem więc (...) podróże, zwiędziłem siedmiokrotnie różne strony dawnej Polski. Owocem tego zwidzenia, a później osobistych trudów samego hrabiowskiego jest biblioteka tak zamożna w narodowe plody literatury polskiej, że dziś jest jedną z najpiękniejszych”.

Przyszedł więc czas, kiedy należało zatroszczyć się o dalsze losy biblioteki. Ze zrozumiałych względów nie chciał Ossoliński pozostać u siebie w Wiedniu. Mogła przecież ulec zniszczeniu lub zostać rozgrabiona po jego śmierci. Przede wszystkim jednak pragnął Ossoliński udostępnić księgozbiór Polakom zamieszkującym Galicję.

W celu założenia biblioteki w Zamościu zawarł więc umowę ze Stanisławem Zamojskim. Podpisana

przez obie strony 17 sierpnia 1804 r. w Łańcucie, zobowiązywała Ossolińskiego do włączenia swoich zbiorów do ordynacji. Na utrzymanie biblioteki przeznaczal 160 tys. zł zabezpieczone na jego włościach w Zgórsku i rodzinnej Woli Mieleckiej. Suma ta miała posłużyć Zamojskiemu na zakup wsi fundacyjnej; część dochodów, które przynosiłaby wieś, powinien ordynat przeznaczyć na potrzeby biblioteki. Ciekawe, że już wówczas, jakby przewidując późniejsze niebezpieczeństwa grożące fundacji, zastrzegł Ossoliński przejście księgozbioru jako niepodzielnej całości pod administrację państwową i pozostawienie go w kraju — w wypadku rozwiązania ordynacji.

Ten pierwszy, podstawowy dokument uzupełniono szczegółową instrukcją, spisaną 16 września tegoż roku w Woli Mieleckiej, a podpisaną 28 września w Łańcucie. Gwarantowała ona protektorat ordynatów zamojskich nad biblioteką i określała jej budżet, w którym przezornie wydzielono 1000 zł rocznie na druk pisma „Biblioteka Historii i Literatury krajowej dawnej i teraźniejszej”. Szerog postanowień regulował dokładnie działalność instytucji: dla publicznego użytku miała być otwarta dwa razy w tygodniu, zabroniono wypożyczania księzek do domu, zaś pracowników pouczano, że „z gośmiń jak najgrzeźniej obojędź się, pytających wiadomości żądanych udziałem. Gdy zaś gość nieprzychylnie się zachowa, zabronić mu wstępu”.

Umowa lańcucka pozostała na papierze. Układ w Schönbrunnie odebrał Zamość Austrii, a Ossoliński nie chciał tracić kontaktu z księgozbiorem. W kilka lat później pisał:

„Okoliczności później zaszczytne, gdy ordynacja zamojska odpadła od kraju, w którym się Biblioteka moja znajduje i którego Stanom przeze mnie przyznana była: miasto Zamość też odwołanie w twierdzę, utraciłszy Akademię, nie jest właściwym sposobem służyć za siedziskiem Muzeum i skład literackich zbiorów”.

Wydarzenia te poprzedzone zostały bardzo ważnym i pomyślnym dla późniejszych losów biblioteki faktem. Umowa z 1804 r. została pryncyplnie przyjęta przez cesarza Franciszka I, który wystosował do Ossolińskiego list:

„Kochany Hrabi Ossoliński. Na przedłożoną Mi przez Moje kancelarie nadworne umowę, której przedmiotem jest zamierzone przez Waćpana założenie narodowej biblioteki dla Galicji, dałem z prawdziwą przyjemnością Moje przyzwolenie, a oprócz tego widzę się spowodowanym za to chwałebne przedsięwzięcie, które jasno udowodnia jego szlachetny sposób myślenia i zjedynia mu wiedzność ojczyzny, ocenającą dobroczynne jego okolo dźwignienia narodowej oświaty usiłowania, oświadczyć Waćpanu szczególne moje zadowolnienie, a tym samym dać poznać, jak wysoką wartość do czynu tego rodzaju przywiązuję. Wiedeń, 23 lutego 1809. Franciszek”.

Występujące w liście słowo „narodowej” okazało się później decydującym argumentem pierwszego dyrektora Zakładu, ks. Franciszka Siarczyńskiego, w jego sporze z regionalnymi władzami austriackimi Galicji o nazwę fundacji. Władze te nie chciały zgodzić się na „Zakład Narodowy”, poszukiwało dopiero pokazanie listu cesarza, który gdyby mógł przewidzieć...

Zakład Narodowy im. Ossolińskich powołany został ostatecznie do istnienia w 1817 r. we Lwowie dzięki długoletnim wysiłkom Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, wielkiego patrioty, znakomitego bibliofila, pisarza i tłumacza, uczestnika „obładow czwartkowych” króla Stanisława Augusta, od 1809 r. prefekta Cesarskiej Biblioteki Nadwornej w Wiedniu. Urodzony w 1748 r. w Woli Mieleckiej, w woj. sandomierskim, z ojca Michała Ossolińskiego, kasztelanica czechowskiego, i matki Anny Szaniawskiej, całe życie poświęcił gromadzeniu księzek i innych wartości kultury narodowej, które następnie przekazał spo-

leczeństwu w fundacji imienia swojego rodu, przez co wszedł na stałe do naszej trudnej i zagmatwanej historii.

Po różnych, nierzadko dramatycznych kolejach losu „Ossolineum” mieści się dziś we Wrocławiu, a fakt ten jest na tyle wymowny, że nie wymaga chyba dodatkowego komentarza. Trzeba jednak mocno podkreślić: „Ossolineum” zawsze pełniło rolę opiekuna i krzewiciela kultury polskiej. Bogata historia Zakładu Narodowego dostarcza wielu przykładów, których wymowa każe w nim widzieć nie tylko placówkę naukową, wydawniczą i dydaktyczną, ale symbol polskości.

Obecnie Zakład Narodowy im. Ossolińskich składa się z dwóch samodzielnych organizmów — biblioteki i wydawnictwa — podlegających Polskiej Akademii Nauk. Stan zbiorów na koniec 1985 r. obejmował 667 306 jednostek, z czego 252 293 tworzą zbiory specjalne, obejmujące stare druki, rękopisy i numizmaty. Rękopisy zawierają m. in. archiwalia rodowe, dyplomy, korespondencje, pamiętniki oraz liczne autografy najznakomitszych pisarzy polskich — Mickiewicza, Słowackiego, Siemkiewicza i in.

Wśród najcenniejszych pozycji wydawnictwa umieścić należy m. in. edycję „Dzieł wszystkich” Słowackiego, fototypiczne wydanie rękopisu „Pana Tadeusza”, serię „Biblioteka Narodowa”, przynoszącą najwybitniejsze dzieła literatury polskiej i światowej, oraz „Bibliotekę Pisarzy Polskich”. Niemal do końca posiada „Ossolineum” w publikowaniu dzieł z zakresu sztuki. Właśnie we Wrocławiu ukazało się „Nowoczesne malarstwo polskie” Dobrowolskiego, „Historia Estetyki” Tartakiewicza i „Wit Stwos” Dettloffa. Warto przy tym wiedzieć, że książki wydawnictwa trafiają do ponad 30 państw, a najważniejszymi odbiorcami są: ZSRR, NRF, USA, CSRS i Izrael.

ZRZUTEK, PARTYZANT,
DZIAŁACZ

W numerze „Kamena” z dnia 29 kwietnia br., pod tytułem „Zrzutek, partyzant, działacz”, zostały opublikowane fragmenty z wspomnień Wacława RóŜdzkiego, z których wynika, że autor nie ma ani cji, bowiem w ustępie tym nie ma ani słowa prawdziwego, w ciągu całej okupacji nie spędziłem ani dnia na Lubelszczyźnie, a więc też nie rozmawiałem ani z p. RóŜdzą, ani z nikim innym, siostra moja nie miała nigdzie majątku itd. aż do końca.

Podobne, nierzetelne publikacje są dla historii szczególnie szkodliwe, gdyż służą podnieceniu i „rodzą” innym, nie dość docekalnym autorom. Dlatego mam dość docekalnie o publikowanie niniejszych listów z najbliższymi numerami „Kamena” oraz o przysłanie mi listem poleconym egzemplarza tego numeru, abym miał dowód, że zaproszono mnie do udziału w tym przedsięwzięciu.

Łącząc wyrazy głębokiego szacunku
Pik dypl. rez. dr JAN RZEPECKI
Sam. prac. naukowy Inst. Hist. PAN

Od redakcji: Odpis tego listu przekazaliśmy ob. Wacławowi RóŜdziej. Oto jego wypowiedź:

Nie wnioskując o motyw, jakim kierował się p. Jan Rzepcecki w swoim liście przy prostowaniu rzekomych nieścisłości zamieszczonych w moim artykule oświadczam, że nie mam żadnych powodów do sprzeczności. Przeciwnie, w przyszłości do tych spraw powrócę i światłem je szerzej.

WACŁAW RÓŜDZA

„KUCHENNA POLSZZCZYNA”

Dobrze się stało, że i „Kamena” zajmuje się ostatnio piętnowaniem wynaturzeń współczesnej polszczyzny. Zie, iż to robi piórem felietonisty Ijona. Wprawdzie w swoim ostatnim felietonie („Kuchenna polszczyzna”, „Kamena” nr 9/366) udało mu się w pocie czoła wynaleźć kilka „przewinień w stosunku do mowy ojczystej” (terminem tym określa on prawdopodobnie błędy językowe), przewinienia te wszakże na tle całej mowy ojczystej, prezentują ją — jak prawdziwa poezja. Wiele z nich zresztą to błędy rzekome, wymyślone przez Ijona — jak się wydaje — z obowiązków etatowego felietonisty.

SPOWIEDŹ

(Dokończenie ze str. 7)

na i jasna, bo usta kobiety miały w sobie bardzo intensywną radość, a jednak po tej wyzwolonej ze smutku twarzy płynęły łzy.

— Daj spokój, mam — powiedział Romek — już wystarczy.

— Sześć lat... — szepnął Doner i próbował się uśmiechnąć do syna.

I był spokojny jeszcze kilka godzin. Tak bardzo spokojny, że aż go wtydy ogarniał. Wtydy i niepokój. Bo czuł się w tym domu jak w obcej sali, w której dzieją się jakieś ważne, ale i tajemnicze zarazem sprawy. Chciał wziąć udział w tej uroczystości, to było jego obowiązkiem — chciał wygłosić piękne przemówienie, a czuł się ciągle jak przypadkowy widz, dla którego treść przedstawienia jest zbyt trudna, zbyt mało komunikatywna. Toteż zdziwił się niezmiernie, kiedy znalazłszy się w pokoju, w którym stało szerokie, małżeńskie łóżko, ogarneła go nagle przeraźliwa rozpacz. Walczył z nią bez przekonania, aż wreszcie poddał się i słuchał w skupionym napięciu swego historycznego placzu.

— Słyszysz? — powiedziała matka do Romeka — Ojciec płacze.

— Słyszę — odpowiedział Romek, — nie wchodzi do pokoju. Nie przekszadzał mu. A ja już się zaczęłam bać, że on nie umie płakać.

Ryszard Liskowacki

Fragment powieści pt. „Polipy” — przygotowanej do druku.

od BIEBRZY
NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

W związku z setną rocznicą urodzin Marii-Curie-Skłodowskiej, w Białymstoku odbyła się specjalna sesja popularnonaukowa. Przygotowali ją Akademia Medyczna im. J. Marchlewskiego oraz białostockie oddziały towarzystw naukowych lekarzy.

W dniach 23-24 maja zorganizowano w Białymstoku I Krajowe Sympozjum Fizyki Medycznej. W obradach uczestniczyło ok. 100 osób z kraju i liczni naukowcy zagranicą. Główne tematy sympozjum: dozymetria promieniowania jonizującego oraz scyntygrafia w zastosowaniu do badań medycznych.

I Ogólnopolski Przegląd Klubów Piosenki Radzieckiej zorganizowany z okazji 30-lecia Rewolucji Październikowej zgromadził w Białymstoku 11 zespołów z różnych miast Polski. W jury uczestniczyli m. in. goście radzieccy.

Kolejna premiera w Teatrze Dramatycznym im. A. Węgliki; 24 maja teatr wystawił „Czajkę” Antoniego Czechowa w reżyserii Romana Kordzińskiego i scenografii Ryszarda Kuzyśny.

KIELCE

Na Kielceczynie bawiła grupa posłów na Sejm oraz przedstawiciele Ministerstwa Oświaty w celu przedyskutowania najważniejszych problemów związanych z koordynacją polityki kulturalnej w województwie. Zebrane materiały będą przedstawione na kolejnym posiedzeniu Sejmu.

Od 20 do 22 maja trwały Dni Radomia. Z tej okazji odbył się szereg interesujących imprez kulturalnych i sportowych, zorganizowano sesję naukową „Radom jako zespół zabytkowy”, miasto ozdobiło liczne okolicznościowe dekoracje.

Wcześniej, w połowie maja, odbył się Radomiu ogólnopolski przegląd zespołów teatralnych studiów nauczycielskich. Radomianie zaprezentowali „Warszawiankę” St. Wyspiańskiego oraz „Warszawiankę 48” R. Gruszczyńskiego. Wystąpił również teatrzyk z Rzeszowa, Wrocławia, Koszalina, Bydgoszczy, Częstochowy i Siedlec.

25 maja bawiła w Sandomierzu specjalna Komisja Rządowa, powołana przez Prezesa Rady Ministrów. Zadaniem

LUBLIN

20 i 21 maja odbywały się w Lublinie centralne uroczystości „Dnia Strażaka”. Z tej okazji przybyli do Lublina liczni przedstawiciele władz partyjnych i rządowych. 149 działaczy pożarnictwa zostało uhonorowanych Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym, Srebrnym i Brązowym Krzyżem Zasługi oraz medalami za zasługi dla obronności kraju. Odbyła się defilada oddziałów pożarniczych oraz pokazowe ćwiczenia strażackie.

Tarnobrzeg, kiedyś miasto a obecnie największa osada w powiecie biłgorajskim, obchodził w maju swoje 400-lecie. Osadę charakteryzuje duża aktywność społeczna mieszkańców. W dniu jubileuszu Tarnobrzeg otrzymał m. in. wodezgię wybudowaną kosztem 4,5 mln zł (społeczny wkład mieszkańców w budowę — 1 mln zł).

Teatr im. J. Osterwy wystawił komedię Antoniego Cwojdzkiego „Hipnota”. Sztukę reżyserował Leopold Matuziak, scenografią Jerzego Torocky.

W 1969 r. ma stanąć w Hrubieszowie pomnik Bolesława Prusa. Z inicjatywą wzniesienia pomnika wystąpił Powiatowy Komitet FJN.

Z okazji obchodów 65-lecia nadania Lublinowi praw miejskich postanowio-

Komisja jest ustalenie przyczyn osławienia się sandomierskiej skarpy oraz określenie rozmiarów prac zabezpieczających. Nadano również zagrożone skarpy w pobliżach Dwikożach, Winiarach i Kamienia.

W kieleckim WDK otwarto ogólnopolską wystawę prac plastyków amatorów. Zgromadzono tutaj prawie 80 obrazów 40 autorów.

na m. in. zorganizował imprezę pod nazwą „Klub Sławnych Lublinian”. Odbędzie się szereg spotkań z osobami, które były związane z Lublinem i których działalność pozostała tu trwałe ślady. Zaproszono licznych polityków, pisarzy, dziennikarzy, aktorów, naukowców, działaczy sportowych.

RZESZÓW

21 maja rozpoczęły się w Teatrze im. Wandy Siemickowej VI Rzeszowskie Spotkania Teatralne. Spotkania trwały 19 dni. Zapożyczką jest Teatr im. Słowackiego z Krakowa „Namiestnikiem” Bołta Hochhutha. Teatr lubelski przedstawił szekspirowskiego „Króla Ryszarda III”, teatr kielecki — komedię Ben Jonsona „Volpone”; gospodarze wystąpili z „Operą za trzy grosze” Bertolta Brechta.

Adolf Jakubowicz, rzeszowski dziennikarz i plastyk, otrzymał doręczną nagrodę Komitetu do Spraw Radia i Telewizji za reportaż społeczno-kulturalny i publicystykę radiową. Gratulujemy.

W wojewódzkim przeglądzie Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Poziół zorganizowanego w związku z 50-leciem Rewolucji Październikowej wystąpiło 11 zespołów. M. in. prezentowane były zespoły M. in. prezentowane były zespoły Majakowskiego, Erenburga, Twardowskiego, Rusiawego. Dość występujących zespołów, doboru repertuaru i poziom przedstawień świadczya korzystanie o rozwoju ruchu teatrów poezji na Rzeszowszczyźnie.

W muzeum w Przemysłu otwarto wystawę „Rzemiosło i sztuka Przemysła w zaraniu dziejów”. Czynną jest również wystawa ikon. W Rzeszowie natomiast Miejska i Wojewódzka Biblioteka Publiczna zorganizowały ekspozycję — „Kultura polska ma 1000 lat”.

Artyzm, smak i styl

Rozmowa z reżyserem Teatru im. J. Osterwy w Lublinie
Zofią Modrzewską



— 17 czerwca obchodzi pani jubileusz 50-lecia pracy artystycznej. W tym dniu odbędzie się również w lubelskim teatrze premiera sztuki Jerzego Szaniawskiego „Kowal, pieniądze i gwiazdy” w pani reżyserii. Dlaczego właśnie kameralna, liryczna Szaniawski?

— Trudno dać od razu jednoznaczny odpowiedź. I „jubileuszowa” realizacja i sam wybór sztuki jest wszak sumą wieloletnich doświadczeń każdego reżysera. Jego warsztatu, przemysłu i postawy filozoficznej wobec życia i teatru, wykrystalizowanej w okresie długich zmagania ze sztuką. A przecież w grę wchodzi także osobiste sympatie do danego autora itp.

— Liczne pani inscenizacje, które od lat oglądamy w Lublinie, zawierają ogromną skalę zróżnicowań: od sztuk klasycznych do zupełnie współczesnych, jak np. „Smak miodu”, od realizacji scenicznych, które wymagają wielkiej palety do sztuk bardzo kameralnych, intymnych. Od dwudziestu lat jest pani ściśle związana z Lublinem...

— ...i bezsprzecznie praca tutaj rzutuje w dużej mierze na moją drogę artystyczną...

— ale przecież jest to tylko jeden z kolejnych etapów pani życia teatralnego. A właściwie, w tym miejscu nasuwa mi się raczej stereotypowe, niemniej jednak zawsze ciekawe pytanie: jak to się wszystko zaczęło?

— Dość sielski i romantycznie. Jako dziecko mieszkałam na wsi, na Ukrainie. Mój ojciec, architekt, posiadał duże zdolności recytatorskie. Również bardzo dobrze recytowała moja starsza kuzynka. Ojciec korygował jej błędy, udzielał rad i wskazówek, „pracował nad wierszem”. Ja byłam wtedy jeszcze zupełnie mała i tylko przysłuchiwałam się czestym wieczornym „próbom” i „występom”. Był może po ojcu odziedziczyłam jego reżyserские zapędy? W każdym razie przez długie lata nie zdawałam sobie sprawy z tego dziedzicznego obciążenia...

— Ale fakt, że została pani aktorką...

— Od aktorstwa do reżyserii droga daleka. Tym bardziej, że moim zdaniem reżyser powinien być najpierw — dobrym aktorem. Znane wyjątki tylko potwierdzają regułę. Schiller, mój pierwszy mąż, aktorem nie był, ale... Schiller był genialnym inscenizatorem... Ja byłam

aktorką od 1917 do 1932 roku. Występowałam w Warszawie w Teatrze Polskim. Zaangażował nas tam razem z Schillerem Arnold Szyfman. Schiller został, jak wiadomo, kierownikiem literackim i powoli kierował się w stronę reżyserii. Ja grałam na scenie, ale również z upływem lat coraz mniej interesowało mnie „czyste” aktorstwo, a pociągała reżyseria.

— Oraz dramaturgię...

— Tak. W 1931 roku napisaliśmy sztukę „Błędne koło Krystyny”, którą wystawił krakowski Teatr im. Słowackiego.

— Niedawno zaś pani adaptacja „Wiernej rzeki” Zeromskiego cieszyła się wielkim powodzeniem w Olsztynie.

— Ale wróćmy do reżyserii... Po wystawieniu „Błędne koło Krystyny” już tylko krok dzielił mnie do wzięcia ostatecznego rozstrzygnięcia. Stało się to w 1932 r., kiedy wyreżyserowałam w Reducie „Sprawę Moniki” Marii Morozowicz-Szczepkowskiej. Sztuka, razem z przedstawieniami objazdowymi, szła 675 razy. Wkrótce potem reżyserowałam, znowu w Reducie, tejsze Morozowicz-Szczepkowskiej „Walęcy się dom”. I już poszło... Reżyserowałam dużo, ale nigdy nie wiązałam się na stałe z żadnym teatrem. Miałam męża, dom, nie chciałam jeszcze dodatkowych obowiązków. Wojnę przetrwałam w rodzinie w Krakowie. Po wojnie przez dwa lata pracowałam w teatrze w Bydgoszczy, potem przez pewien czas była Łódź no... na zaproszenie ówczesnego dyrektora teatru Maksymiliana Chmielarzyka — Lublin. Z początku gościnnie, a wkrótce na stałe. Tutaj wpadłam w prawdziwy wir pracy. „Obrona Ksantypy”, „Pan inspektor przyszedł”... Częste premiery, zajęcia w lubelskiej szkole dramatycznej...

— Było to zdaje się w ogóle pierwsze pani spotkanie z Lublinem?

— Niezupełnie. Jeszcze jako aktorka, grubo przed wojną, przyjechałam z zespołem Teatru Polskiego na gościnne występy. Grałszy „Dom kobiet” Nałkowskiej. Ale, wie pan, ówczesny Lublin wydał mi się trochę nierealny, zagubiony w epoce... „czechowiczowski”. Teraz to było miasto realne i zdecydowane, niedawna stolica nowego państwa. To było młode miasto i młody teatr. Zdecydowałam się tutaj pozostać.

— Jednak potem, przez trzy lata, była pani kierownikiem teatru w Olsztynie.

— Ale przyjechałam z powrotem... Wracając zaś do początku naszej rozmowy: spośród wielu sztuk, jakie reżyserowałam, zawsze najbardziej pociągają mnie te, w których „wnętrze” znaczą więcej niż „obraz”. Staralam się robić sztuki kameralne, psychologiczne, a w ich postaciach zawsze odnajdywać ludzkie charaktery. Cenię autorów, których charakteryzują trzy rzeczy: artyzm, smak i styl. Taki jest Szaniawski. Dzisiaj zachylamy się techniką. Ale... same wynalazki techniczne nie wzbogacają duszy. Dlatego wybrałam „Kowala, pieniądze i gwiazdy”.

Rozmawiał: Mirosław Derecki



W ZBIERAJĄCĄ znowu dyskusję o regionalizmie i działalności stowarzyszeń kulturalnych, o ich perspektywach wzbogaciły „WIATRANKI”, które — poprzez ankietę — chciały zorientować się w dokonaniach stowarzyszeń kulturalnych i towarzystw regionalnych i zbadać groźące im niebezpieczeństwa. „Kamena” niedawno poświęciła tym sprawom sporo uwagi, ale wydaje się, że wypowiedzi zamieszczone w „Wiatrakach” prezentują inny zakres doświadczeń. We wschodnich województwach Polski nie ma tego rodzaju stowarzyszeń jak lubuskie, czy olsztyńskie „Pojezierze”, które są organizacjami rozbudowanymi i prężnymi. Kanalizują one cały społeczny ruch kulturalny województwa, który — jak powiedział W. Ogródzki — jest „w pewnym stopniu reakcją na zinstytucjonalizowane formy działalności kulturalnej”. Niestety — nie ma miejsca na szersze omawianie wszystkich wypowiedzi. Może najistotniej ujął problemy stowarzyszeń kulturalnych przedstawiciel Gdańska:

„Stowarzyszenie nie będzie się rozwijało, jeżeli jego baza będzie amatorka. Bez bazy zadawci się albo znużdzi wieloletnią realizacją swych inicjatyw. Natomiast gdy zbuduje swoją bazę, znacznie zastąpić placówki kulturalne, zarządzające i zatraci to, co najcenniejsze: antybiurokratyczny sposób organizowania życia kulturalnego. Wniosek: pragnąc osiągnąć charakter rozwojowy — stowarzyszenia, trzeba zainicjować proces przejmowania od niego przez placówki kulturalne ciągle nowych, sprawdzonych form upowszechniania sztuki, aby stowarzyszenie mogło znowu penetrować tereny jeszcze nie zdobyte”.

Mówi się dużo o potrzebie upowszechniania kultury w ośrodkach leżących poza wielkimi centrami, a przecież ciekawy głos ostrzegający przed przesytem kulturalnym. Leonard Turkowski w artykule „Praca z kulturą?!” zamieszczonym w miesięczniku „WARMIA I MAZURY”. Autor bol się nadmiaru słów i przewagi rzeczywistości wtórnej, jaką jest wszelkiego rodzaju sztuka i wzywa do odnowienia kontaktu z życiem prawdziwym, przeżywanym go i uczestniczeniem w nim w pierwszym rzędzie.

Oczywiście Turkowski nie proponuje powrotu do stanu barbarzyństwa. Chodzi mu o to, by szkoła, domy kultury i instytucje powołane do wychowania kształciły wrażliwość. Chodzi o to, by ze szkoły, z placówki upowszechniania kultury, wychodził człowiek rozmakowany w kulturze, sztuce i nauce. By nie wychodził dzikus z tranzystorkiem w ręce. By wychować człowieka umiejącego dokonywać wyboru dzieł sztuki, wyboru informacji. Umiejącego żyć całą gamą, nie uciekającego od życia, lecz pasjonującego się nim (...). Znającego urodę życia.

W „POEZJI” Władysław Gębki zajmuje się postaciami zasłużonych poetów Warmii i Mazur, takich jak M. Kajka, A. Sliwa, T. Ruczyński czy M. Lengowski. Przed wojną działali oni wśród żywo niemieckiego zachęcając polskim słowem do przetrwania, budząc świadomość narodową. Autor sztuki „Poeci Warmii i Mazur” omawia ich sylwetki, ich twórczość i tak na końcu ujmując rolę ich twórczości: „Poezja Kajki, jak i żyjących kontynuatorów jego dzieła, może swoim tradycjonalizmem razić niedojrzałego z dzisiejszych czytelników,

zwalczając młodszych, nie znających ani historii, ani kultury regionu, nie wiedzących nic lub bardzo niewiele o żartach walce, jaka w latach niewoli toczyła się na tych ziemiach o słowo polskie, o każdy okrucieństwo narodowej kultury — może nie znałoby zrozumięcia u czytelników oceniających wartość poezji autorów ziem odzyskanych według współczesnej mody czy kryteriów formalno-artystycznych. Nie w zasięgu tych kryteriów leżała i leży jeszcze dziś (...) doniosła rola te poezji i jej ogromna zastawa w budzeniu świadomości narodowej i umacnianiu więzi społecznej ludu polskiego pod zaborem pruskim i to granicach odzyskanej Ojczyzny”.

Rzeszowski „WIDNOKRĄG” zamieszcza wywiad J. Gryglięla z sekretarzem Zarządu Głównego ZLP, J. M. Gisgesem na temat środowiska literackiego w Rzeszowie. Rozmówca, sam pochodzący spod Niska, mówi o bogatych tradycjach kulturalnych i o obecnych dokonaniach w tym zakresie, których wyrazem jest „Kwartalnik Rzeszowski”, prasa miejscowa i radio. Właśnie dzięki temu „wyrastało i dojrzewało środowisko literackie Rzeszowszczyzny. Wydaje nam się, że wkrótce ten, na razie jednak jeszcze dość wątki, ośrodek twórczej myśli literackiej dość szybko się rozwinię i będzie niewątpliwie poważnie znaczył w rozwoju współczesnej literatury polskiej. Ten swój optymizm opieram na młodej i najmłodszej generacji literackiej Rzeszowszczyzny”.

Natomiast „MAGAZYN SŁOWA LUDU” przypomniał w artykule „Oskar Wilde z Klimontowa” postać Brunona Jasińskiego, głośnego futurystycznego poety o rewolucyjnym nastawieniu, podkreślając związek najgłośniejszego poematu Jasińskiego „Słowo o Jakubie Szeli” z klimatem i pejzażem rodzinnych stron poety, gdzie jego ojciec leczył głodujących chłopów najczęściej za darmo. W Klimontowie odbyła się niedawno sesja naukowa poświęcona twórczości Jasińskiego, która przypominała nie tylko, kim był autor „Buta w butonierce”, czy „Pieśni o głodzie”, ale ukazała jego rodzinne powiązania. A warto pamiętać o poecie, który kiedyś napisał:

Kiedyś wiosna otworzy naściecią pestki serc rozłupne przez pół zasiałymi przy jednej wieczerzy, będzie ziemia jał: jeden stół.

T. K.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielski, Jerzy Dostałni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki (redaktor techniczny) i Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski.

Informacji w sprawie prenumeraty udziela placówka poetów i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławskie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4. Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Korespondencje prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131 Zam. 2001. 24.V.97. P-3

POWIADAJĄ, że Zeromski znalazł się kiedys na posterunku policji. Przystąpiono do spisania protokołu. Przewodnik zaczął pytać:
- Imię?
- Stefan.
- Nazwisko?
- Zeromski.
- Zawód?
- Pisarz.
- Jaki pisarz, gminny?
- Nie, polski.

Historia jest podobno prawdziwa. Zresztą, gdyby nawet Zeromski nigdy nie zawarł był znajomości z policją, to i tak warto było tę historię wymyślić. Nie, nie ze względu na przedwojennych stróżów bezpieczeństwa publicznego. Granatowa policja nigdy nie grzeszyła kulturą i ogłada, a przy tym w oczu społeczeństwa pozycja pisarza gminnego była

w owym czasie nieporównanie wyższą od pozycji literata. Nie chodziło również o jakiejś służbie do dalszej milicji, trudno sobie bowiem wyobrazić milicjanta, który by nie wiedział, kto to był Zeromski. Ze co? Ze nietrudno dziś wiedzieć, kto to był Zeromski? Oczywiście, nietrudno, jeśli oświata i kultura nie kończą się przed progiem posterunku milicyjnego, czy bramą koszar, jeśli nie gardzą nimi ludzie w mundurach. Myślę, że nie tak nie oddaje atmosfery, panującej w przedwojennym wojsku, jak ów dowcip o przydzielaniu zajęć rekrutom pulku ułanów. „Kapral! — Kto zna język francuski — wystąpi! Rekrut Kowalski! Na rozkaz panie kapralu! Kapral! — Doskonale, Kowalski. Przydzielam was do zamiatania stajni”. Gdzie te czasy, myśli człowiek, gdy się dowiaduje, że w stołecznej komendzie milicji zorganizowana została wystawa archeologiczna, którą zwiedzają milicjanci, a w znanych koszarach literatów i artystów traktują niemal jak dyktynny oficerów.

Anegdota o przewodniku i Zeromskim jest aktualna ze względu na swoją treść. Byłem niedawno w pewnym wojewódzkim mieście, gdzie wręczono mi program obchodu Dni Oświaty, Książki i Prasy. Spośród zapowiedzi wielu niezwykłych atrakcji wybiła się informacja o kiermaszu

ksiątek, w czasie którego grupa pisarzy miała podpisywać swoje dzieła. Gdyby przewodnik, który indagował Zeromskiego w sprawie jego profesji przeczytał ten program, nie miałby żadnych wątpliwości z odpowiedzią na swoje pytania. Kogo tam nie było? Najpierw „szli” pisarze wojewódzcy (jeden wybitny, dwaj popularni i dwaj znani), potem pisarze mazyrzyjscy (powszechnie znani), za nimi młodsi pisarze (wybijający się), potem pisarze z terenów (tenonij) i wreszcie pisarze warszawscy (wybitni przedstawiciele literatury polskiej). To rozumie. Wszystkie uporządkowane, jasne i zrozumiałe. Tylko pisać protokoły!

Ta parada gwiazd o oznaczonej przez jakiegoś biurokrata wielkości przypomniała mi historię szczyńskiego Klubu 13 Muz. Pewnego dnia do zarządu klubu zgłosił się starszy referent wydziału kultury i jak ów przewodnik policji zaczął spisywać personalia patronów klubu.

— Panowie będą łaskawi odpowiedzieć, jak się nazywają wasze muzy?
— Po prostu muzy.
— Bliższe szczegóły proszę, nazwiska, zawody?
Zapadło milczenie przerwane triumfalnym okrzykiem naszego gościa.
— Tu was mam! Zaraz policzymy.

Referent wyjął z kieszeni kartkę i zaczął czytać:
— Erato — to rax, kilo — dwa, Kaliope — trzy, Metopome — cztery, Polihymnia — pięć, Talia — sześć, Terpsychora — siedem, Urania — osiem, Euterpe — dziewięć. Tylko dziewięć! Zadam wyjaśnienia, skąd więcście trzynastecie muz? Na jakiej podstawie?

Nazwa 13 Muz zrodziła się na jednym z zebrań literatów, artystów i dziennikarzy w 1947 roku, w przeddzień otwarcia pierwszego w Polsce klubu trzech związków twórczych. Jedni mówili, że narzę wymyślił pewien młody dziennikarz, inni — że znany warty plastyk, niektórzy zaś twierdzą, że sam Konstanty Ildefona Gałczyński. Nagrodą był literatki, więc szczegół dotyczący autorstwa nazwy mógł się gdzie po drodze zawierzyć. Faktiem pozostało 13 Muz. Dlaczego trzynastecie? Kto się wtedy nad tym zastanawiał. Grunt, że muzy i w większej ilości.

Podobnie jest z tymi informacjami. Dlaczego jeden wybitny, drugi ulubiony, trzeci popularny, czwarty zaś tylko cenny? Kto się nad tym zastanawiał? Czasem jednak przypomniała się rozmowa przewodnika policji z Zeromskim.
— Jaki pisarz? Wybitny?
— Nie, po prostu — pisarz. Zwyčajny.

BAR.

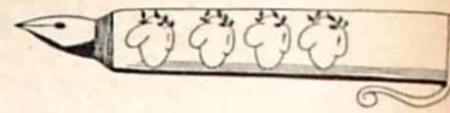
Z teki Wiesława Fuglewicza



- Innych fasonów nie ma!



- To moje kółko!



Włeczni twórcy

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

Przezacni pasterze

Biskupi zachodniemieccy, znani częstokroć ze swych zimnowojennych przekonań, leją krokodyły łzy nad rzekomo przesładowanym Kościołem w Polsce, udzielając jednocześnie poparcia rewizjonistom.

A gdzieście byli, przezacni ojcowie, kiedy w Oświęcimiu kominy dymiły? O waszych protestach nikt się dziś nie dowie — raczej o zachęcie dla wojsk, sercu miłych.

A coście mówili, przezacni pasterze, kiedy polskich księży mordowali kaci? „Umacnialiście” zbirów w „niewzruszonej wierze”, wolałście głośno, by ducha nie tracił.

A za kogo wtedy wznosiliście modły? A czyje szlondary głos wasz błogosławił? Czy wasze obłudne nikogo nie zwiodły, obrońcy tej samej — co i wówczas — sprawy!

O „krzywdzie” swych braci chcecie świat przekonać, szermujecie gromko „prawem do ojczyzny!” A gdzie serca mieliście, gdy zimą, w wagonach na śmierć zamazały dzieci Zamojszczyzny?

Martwiecie się dzisiaj losem swych świeczek, o, przezacni pasterze, w zgodnym fałszerstwie chórze — lecz dobrze już znamy ten ból, co was piecze, o, przezacni pasterze w starej, włecznej skórze!

Fraszki

Jacek

SEDZIOWIE

W bońskim sądownictwie pracuje wielu byłych sędziów—morderców.

Złego słowa nikt na nich nie powie! Nie nie maci ich „czyste!” opinii. Wolny kraj! Niezawili sędziowie! Choć niektórzy zawisnąć powinni.

DOWÓD

Polska — niemieccy twierdzą — pisał Herr Doktor. Rację miał! Niech zresztą nazwy potwierdzą: Auschwitz, Stutthof, Birkenau...

KOLORY

Znów żyje dostatnio — hardo trzyma głowę! Przeszło ma brunałna. Widoki — różowe.

OPASKA

Twey opaski, Temido z Bonn, twey opaski kształt jest nam znany! Pamiętamy, jak oczy i skroń zakrywano rozstrzelwanym.

DODATEK

„ZIEMIA I PIEŚŃ” ukaże się w n-rze z 15 lipca br.

MINUTA MYŚLENIA

Karać, ale...

KOMENTARZE prasowe zmuszają mnie do zajęcia stanowiska. A chciałem wypadek byrdowski objąć milczeniem. Nie zapisywałem go w świadomości. Kiedy jednak opinia publiczna stymuluje i mój osąd, muszę stwierdzić coś, co ma być mutandem jest w tym przedmiocie formą owego pragnienia absencji.

Ponieważ nie chciałbym tu być nikim. Nie chciałbym być Denochem, nie chciałbym być jego krewnym, nie chciałbym być jego ofiarą, nie chciałbym być jego prokuratorem, nie chciałbym być jego adwokatem, nie chciałbym być świadkiem w jego procesie. Tyle „nie”. Czy to przypadkiem nie zamknięty w skorupce mojej osobowości głos wygodniejsiwa? Oddech zamykania oklennic, kie-

dy za oknem robi się głośno? Popielona zbrodnia, dwóch już nie żyje, trzeci nie będzie żył, czwarty nie wyjdzie z więzienia, a ja „noli tangere circulos meos”?

Konsternacja moja pochodzi stąd, że łatwiej było ująć Denocha, niż jego wytatuowaną dłoń. Wypadek zaszył któregoś tam dnia marca w Zyrardowie podległ kompetencji organów ścigania. Ale jakiej kompetencji podlega sama atmosfera społeczna — chyba nie przesadnie powiedzianym: „społeczna” — na której to wypadek ów stał się możliwy? I kiedy jej napór na paragrafy kodeksu karnego „ukoronowany” zostanie następnym Denochem?

To nie lament ciotki, ale możemy przewidywać, że kandydat na następnego Denocha już jest „w przygotowaniu”, jeżeli gromady młodych chłopców z takim amatorem odgrywać scenki z użyciem pełnych l... pustych butelek w późnych godzinach wieczornych. To chojractwo w dodatku zza plotu, to sobiepaństwo (oczywiście przy przewadze lielibnej) — jako hobby. Uprzymiśnijmy sobie, jak niewielki w wieku dwudziestu lat przy odurzeniu alkoholem impuls wystarcza, by to rozżalenie do bitki przesuwać na teren rzeczywistej zbrodni.

Chuligaństwo — zjawiskiem irracjonalnym. To pięknie brzmi, ale dla praktycznych celów musimy uchwycić ogień konkretnych przyczyn, jeśli nie chcemy mordobicia traktować tylko jako temat prac magisterskich. Konflikty naszej epoki, tempo przemian obyczajowych, walka pokoleń — owszem, te zjawiska istnieją gdzieś głęboko w tle wspólnej czasnej neozologii społecznej, ale nie za każdą butelką od wina ciśniętą komuś w głowę w Parku... Kultury i Wypoczynku stoi niemożność znalezienia postawy wobec skomplikowanych zjawisk dzisiejszego świata.

Karać? Owszem, ale potrzeba czegoś wcześniejszego. Trzeba przede wszystkim rozwiązać przekonania, że miasto z nastaniem późnej godziny przechodzi na własność camorry sporadycznie tylko neutralizowane przez obecność patroli MO, że męskiemu przypadkowi zaliczyć należy, jeżeli spotkanie z grupą filozofów ludzi w tym czasie nie kończy się przymusowymi odwiedzinami w pogotowiu ratunkowym. A przede wszystkim to siedemnasto- osiemnastolatki obiegające kolem spólnego przechodnia, szacując go porozumiewawczymi gwiazdami z różnych stron,

to jeszcze nie skończyli Belfegorry. Gdzieś się ucza, gdzieś pracują, gdzieś normalnie mieszka. Dlaczego tak chętnie ciągną na teren podminowany wykreśleniem? Jakie potrzeby psychologiczne to zaspokajają? Przejrzyj, przewentyluj. Są wypadki zatrzymań tych osobników może niekiedy na krok przed przestępstwem. Doprowadzić do konfrontacji w środowisku, niech padną głosy. Kolegów, znajomych, sąsiadów. Niech z tych buszowań po zaułkach nocy i obrzeżach miasta opadnie zastłona anonimowości. Chuligaństwo tylko za kulisami podwija rękawy. Na scenie wypada z roli.

Trzeba też doprowadzić do społecznej dewaluacji tych „kawalerskich fantazji”. W obecnych warunkach jakoś się przyjęło, że młodemu człowiekowi nie wypada od czasu do czasu nie zachulić. Ze ten, kto nie wyskoczy czasem zatupać na brukach bocznych uliczek, jest maminymkiem nie zasługującym na solidarność „męskiego” koleżeństwa. Kilkuletnia psychologia tłum. Bo w pojedynkę...

Niestety. W pojedynkę trafiają aż na lawę oskarżonych. Czy wtedy nie oskarżają swojego klanu?

Ijon

BIG-BEAT

Lalunie

PANIE Redaktorze! Diabełnie akustyczne są te nowe mieszkania. Za ścianą ryczą dzieciaki, mama nawołuje „Cicho lalunia”, ale na „lalunie” działa to jak płachta na byka. Na górze znów telewizja. Nastawili na cały regulator. Głusi czy uszy mają niefontypte ci moi sąsiedzi? Na dole znów, dla odmiany, rodzinna wymiana poglądów. Głos tonny wyraźnie góruje. „Znowu przepiliś sto złotych, a dziecinom nie mam co do garnka włożyć... Pieniądze mi wykradną. Pójdę do twoego kierownika...”. Nie wiem, czy kierownik coś tu pomoże, na pewno nie przyniesie to większego rezultatu niż ta lekcja małżeńskie pedagoga. W każdym bądź razie mają mruczy pod nosem, ale

telewizor nade mną i dziecko obok zupełnie zagłuszają jego słowa. Szukoda, jeszcze zapełniłbym kilka linijek tego felietonu, a tak jestem zupełnie zdany na własne siły. Chociaż... Dlaczego się nie podratować, tym bardziej, że sprzeczka małżeńska stanowi dobry punkt wyjścia.

Właśnie w „Kierunkach” znalazłem interesujący przedruk rozważań zachodniemieckiego pisma „Die Zeit” na temat kryzysu małżeństwa. Monachijska psychoterapka, dr Joanna Herzog-Dürek, stwierdza, że „kobieta może w wiele głębszy sposób uczynić człowieka nieszczęśliwym aniżeli najgorszy, najzłośliwszy mężczyzna... potrafi ona zniszczyć to, co w nim jest najlepszego, wszystkie zalety jego serca”.

Brawo, pani Joanno! Zawsze podobalo mi się to imię i twierdziłem, że Joanny to rozsądne dziewczyny. Okazuje się, że Joanny-kobiety też mają olej w głowie.

Autorka cytowanego artykułu, p. Leona Siebenschn dodaje od siebie:

„Narzędzi owego zniszczenia nie potrafiłyby dowcipnie wymyślić sam szatan. Rządzą kiedyś dzieła ona wprost, częściej — drogą okrutną, stopniowo rozkładając

pożucie własnej wartości mężczyzny; jego substancja duchowa ulega skruszeniu, jego wiara w siebie — spustoszeniu. A kobieta zachowuje przy tym — pozornie — niewinność; jej zrządzenie, gderanie, kwękanie, rzadko pozbawione pryncypy, jednak rzadko kiedy rzeczywiste i przeważnie utrzymywane w stylu non-stop rodzi w mężczyźnie poczucie bezsilności i nieufności do siebie samego;

— jej perfekcjonizm w gospodarstwie domowym, nierzadko przeradzający się w neurotyczny przymus, objawia go jako pasyżta jej pinelności;

— jej cnotliwość, zresztą często demaskowana jako „brak okazji” skazuje go na dręczenie się wyrzutami sumienia (nawet wtedy, gdy nie nastąpiło u niego uchybienie — przeciwnie, wierność małżeńską);

— jej miłość, użyczana jak protekcyjnalna łaska z kaprysu lub też wedle zasługi, degraduje go do roli niewolnika jej wielko- duszności.

— Jednakże nie każdy mężczyzna godzi się na to. Niejedni się buntują i wówczas uchodzą za winowajcę kryzysu. Niejedni bronią się białawie i prostacko popadając w rolę grubianina wywołującego awanturę. Niejedni czasami robi

NOTY i notki

NIE BARDZO ZNAMY SIĘ na sporcie, a jednak bardzo się zadumaliśmy my po przeczytaniu informacji w „Kurierze Lubelskim” o zbliżającym się meczu piłkarskim pomiędzy „Awia” a Lubelakiem „Motorem” (oba kluby przy fabrykach jednego resortu). Autor pisał, że „Avii” żaden wynik ani nie pomoże ani nie zaszkodzi, natomiast „Motor” w razie wygranej ma utatwione zadanie wejścia do II ligi, z czego piłkarze, działacze i kibice powinni wyciągnąć właściwe wnioski... Tak oto szerzy się wzniosła idea sportu. Na całe szczęście dla sportu, a nie dla wyników, wygrała „Avia”.

MILICJA W KIELCACH zatrzymała trzech młodych ludzi, którzy mimo braku orkiestry zawzięcie tańczyli na dachu pewnego samochodu osobowego. Zatrzymanych należało jednak skierować do jakiegoś zespołu pieśni i tańca a nie do kolegium. Taniec bez muzyki na marmy i spadziwym dachu świadczy przecież o wysokich kwalifikacjach gimnastyczno-tanecznych.

„DLACZEGO ROZWODZĄ SIĘ ROSJANIE? Z kim senią się Francuzi” — oto nasładowane ze sobą wyniki ankiety, opublikowane w nr 18 „Pomorza”. Z nadmiaru wrażeń autorom coś się jednak pokręciło, bo np. na pytanie „czy małżonkowie ustępowali wobec waszych żądań” udzieliło odpowiedzi 183 proc. pytanych Rosjanek. Z czego chyba wynika, że 3 proc. rozwiedzionych w ZSRR małżonków siedziało nie tylko pod jednym, ale pod dwoma pantofelkami.

PLAKAT NA 25-LECIE RSW PRASA Gustawa Majewskiego został wyróżniony w konkursie „Najlepszy plakat miesiąca”. Niestety, jury nie ujawniło, o którą wersję chodzi. Albowiem plakat ukasał się w dwóch wersjach, rzecz dotychczas na rynku krajowym nie spotykana. A piszemy dlatego, że jedna wersja w ostatnim wierszu zawiera takie tytuły: Słowo Ludu — Kamena — Gazeta Białostocka — Głos Olsztynski, natomiast w drugiej na tym miejscu widać tytuły sześciu pism warszawskich.

WE WŁOSZCZOWEJ do nowej szkoły część dzieci z braku drogi chodziła przez pole, ale pewnego dnia właściciel je ogrodził. Dzieci więc zaczęły chodzić przez cmentarz, wykazując niezwykłą w tym wieku odporność na duchy. Ktoś się jednak nad dziećmi niestudnie ulitował i ogrodził także cmentarz. Teraz do szkoły albo nie chodzą wcale, albo przechodzą przez plot — ku radości nauczyciela gimnastyki, a rozpacz pozostałych pedagogów i rodziców.

OMZLICZ TAKIEGO! Ktoś ukrywający się skromnie pod kryptonimem „Kajetan” pisze w nr 15 łódzkiej „Ogłoszeń”: „Wasz sprawodawca wszędzie był, wszystko widział na własne oczy, słyszał na własne uszy”... Przypomniała nam się dziecinna próba: mamó chwał mnie...

W PRZEDEDNIU SEZONU URLOPOWEGO my też rozglądaliśmy się za atrakcyjnymi miejscowościami. W nr 18 „Nadodrza” przeczytaliśmy najpierw: „Wielką swoją szansę na miedzianej loterii wygrała Sława Śląska — najbardziej europejsko traktująca turystykę miejscowość w Zielonogórskim”. I już chcieliśmy tam pojechać, gdy 18 cm niżej, ale w artykule innego autora, znaleźliśmy taką opinię: „Czy jest sens wspominać o takich gospodarzach, jak GRN Sława Śląska, gdzie nie realizuje się zamierzeń i nie bardzo wiadomo, po co jest plant”.

„KRYTYKA I KURTUAŻJA są, moim zdaniem, pojęciami nawzajem się wykluczającymi” — twierdzi w liście do „Kultury” (nr 23) Stanisław Barańczak, który bardzo ostro ocenił poezję K. Ilakowiczówny w poznańskim „Nurcie”. Ilustracją stwierdzenia p. Barańczaka są listy Olgierda Terleckiego i Wincentego Iwanowskiego w „Zyciu Literackim” (też nr 23). Przeczytaliśmy tam m. in. pod wzajemnymi adresami: 4 razy „insynuacje”, 2 razy „paszkwili”, 2 razy „obelgi”, ponadto „zupelnie nieucztwo”, „żałosny fakt”, „klamstwo”, „prawo mówienia o styce” itd.

JAK WIDĄC z poprzedniej notki zawód krytyka wymaga wielkiej odwagi i wytrzymałości. Ale czytelnik też musi wiele wytrzymać, jeżeli w ocenie jednego z filmów czechosłowackich przeczyta coś takiego w „Wiedzy i Zyciu”: „dzielenie na czworo niedomytego włosa z awangardowego koftuna”...